Nr. 42. Warszawa, dnia 9 (21) Października 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

FILOZOFIA NAUKI SPOŁECZNE NAUKI PRZYRODNICZE HISTORYA JĘZYKOZNAWSTWO SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Wojna w Afryce.

I.

Ultimatum, doręczone d. 9 b. m. przez Boerów rezydentowi angielskiemu w Pretoryi określiło datę wybuchu wojny. Gdy Anglia nie skorzystała z zostawionych sobie do namysłu dwóch dni czasu, Transwal rozpoczął kroki nieprzyjacielskie d. 11 b. m., we środę przeszłego tygodnia. Posiadłości angielskich terytoryum rzeczypospolitej dotyka z trzech stron: od północy ma nad sobą dawną krainę Matabele, obecnie „Rhodesię," którą spłodził żarłoczny umysł Cecila Rhodesa, spekulanta na wielką skalę i polityka w stylu „bierz, co nie twoje": a w przedłużeniu Rhodesyi, ze spadkiem linii granicznej ku zachodo-południu, kraje bez ścisłej, ogólnej nazwy; dalej, już od zachodu, t. z. Bechuanaland; wreszcie w rogu południowo-wschodnim Natal, Zululand i Tongaland. Boerowie, zostawiając w spokoju granicę północną, którą im do pewnego stopnia zabezpiecza wielka rzeka Limpopo, wtargnęli z dwu stron: od zachodu, do Beczuany i w owym rogu południowo-wschodnim, do Natalu. Tam działają sami; tu z pomocą sprzymierzonych Orańczyków. Na widowni zachodniej dotychczas celem ich jest zniszczenie drogi żelaznej angielskiej, biegnącej samem pograniczem; na południowo-wschodniej zajęcie takich stanowisk, któreby utrudniły Anglikom wdarcie się od wschodo-południa, gdzie od r. 1881 leży klasyczny obszar napaści angielskich i zwycięztw transwalskich.

Trzeba być, jak podczas każdej wojny, przygotowanym na wiadomości błędne, wyrzucane przez swoistą miłość własną i pychę, przez lekkomyślność życzliwych i nieżyczliwych, nawet przez spekulacyę dziennikarską i giełdową. I w dotychczasowej, zaledwie jednotygodniowej, wojnie było już sporo doniesień, przeważnie transwalskich, w których łapano ryby przed niewodem. To tylko pewna, że na obu widowniach, zachodniej i wschodnio-południowej, Boerzy są wciąż stroną zaczepiającą garnizony i obozy angielskie, co wskazuje, iż Anglicy albo istotnie mają własne siły zbyt słabe, albo też nieprzyjacielskie uważają za zbyt wielkie. Na zachodzie udało się wojsku rzeczypospolitej zniszczyć część drogi około Vryburga, zabrać wagony i cały pociąg, zająć kilka stacyj drogi, niezupełnie jeszcze wykończonej. Zajęcie Vryburga, w krainie Stellaland w Beczuanie, jest prawdopodobnem, ale zdobycie na północ leżącego Mafekingu, gdzie stało parę tysięcy Anglików — pomimo doniesienia, kładącego już fakt na dzień 13 b. m., niepewne, a osaczenie w Kimberley wątpliwe. Można będzie powiedzieć, że się Boerom powodzi na zachodzie, jeżeli zdołają tu popsuć kolej, prowadzącą z Rodezyi do Przylądka i zmuszą Anglików do biernego zamknięcia się w garnizonach. Inaczej stoi sprawa ta na południu: tam potrzeba rzeczywistej przewagi oręża, rzeczywistego spędzenia Anglików, aby wolno było przewidywać, przynajmniej w początku wojny, przed zupełnym dowozem żołnierza angielskiego z Europy i Azyi — zwycięztwa boerskie.

Na tej drugiej widowni, historycznie i topograficznie ważniejszej, podatniejszej na bitwy i sam najazd angielski, w północnym Natalu, teraz już Anglicy mają znacznie większe siły, niż na zachodzie, a skoncentrowali je w Glencoe, Dundee i Ladysmith. Blizkość Durbanu (dawny port Natal) przy komunikacyi kolejowej pozwoli im podnieść je do gnębiącej już potęgi. Muszą upatrzeni na ofiarę sami złożyć bóstwu wojny całopalenie z Anglików, z ich strategicznych punktów, z ich planów i nadziei, zanim im przybędą posiłki. Potem już będzie za późno; potem już układ z Portugalią, dający wolne przejście wojskom angielskim przez Lourenço Marquez na prawym brzegu wielkiego wodozlewu, okalającego Transwal od południo-zachodu, północy i południowschodu — da Anglikom możność wtargnięcia do kraju Boerów z pomocą własnej ich drogi żelaznej, wzdłuż rzeki Krokodylej (wschodniej) i skierowania się na Middelburg, o jakie 125—130 kilometrów na wschód od stolicy, Pretoryi, leżący. Byłaby to dywersya dla Transwalczyków straszna. Nietylko nie mogliby marzyć o posunięciu się ku natalskiemu Pietermaritzburgowi, ale musieliby czemprędzej usunąć się z wązkiego trójkąta północnego Natalu, utworzonego przez rzeki Buffalo, Tugelę i pasmo wysokich, wałem nieprze-

bytym stojących, gór Smoczych (Drakensberg). Działanie dośrodkowe Anglików od północy i od południa mogłoby nawet strategicznie wyprzeć Boerów z historycznej widowni ich pięknych zwycięztw i przenieść wojnę zupełnie już w głąb ich kraju, na widownię o wiele niewdzięczniejszą i przyjaźniejszą dla liczebnej przewagi, niż dla duchowej w wojnie wyższości.

Dotychczas Transwalczycy na tej ważniejszej widowni południowo-wschodniej zrobili niewiele, co tem bardziej uderza, że mając zapewnioną pomoc pobratymców, właściwie nawet rodaków w Oranje, mogli i powinni byli wszystkie siły zbywające od działań potrzebnych na zachodzie, cały rozum strategiczny i taktyczny, jakim zorganizowany żywioł holonderski w obu rzeczachpospolitych rozporządza, skierować odrazu, w pierwszym zapędzie, przed opatrzeniem się i wzmocnieniem wroga na ten południowo-zachodni przyczółek—może nietylko swego terytoryum, ale i samego bytu politycznego. Zajęcie drobnego Newcastle'u jest bez znaczenia; okopywanie się w zajmowanych punktach dobre, ale pod warunkiem ustawicznego posuwania się naprzód, czyli spędzania Anglików na południe. Co najmniej, trzeba oczyścić z nich cały kraj aż do Tugeli, zniszczyć kolej, wtargnąć nawet do Zululandii, aby Anglikom utrudnić, a może i udaremnić, zasilanie się wojenne od morza. Jeżeli tego nie dokażą, Anglicy doczekają się posiłków, przejdą w zaczepność i wytworzą dla siebie warunki odpowiadające wyżej nasuniętej hypotezie, nieszczęśliwej dla Boerów, gdy ci będą zmuszeni cofnąć się w głąb kraju i w 20—25 tysięcy bronić ognisk domowych przeciw 75 tysiącom najezdników, bo tyle chce mieć, tyle sobie wymówił, naczelny wódz angielski Buller, pożegnany patryotycznymi okrzykami Londynu.

Tydzień polityczny. Parlament angielski zebrał się prędzej, niż przewidywano, bo d. 17 b. m. Mowa tronowa wskazuje jako jedyną jego sprawę wojnę z Transwalem i środki do niej; wewnętrzne sprawy odkłada na luty, do czasu normalnych zagajeń corocznych. Teraz ma naród w parlamencie dać tylko milicyę do szeregów, pieniądze i pełnomocnictwo niezbędne. Izba wyższa, obyczajem swoim, zaraz rozpoczęła obrady nad adresem; niższa— nazajutrz. W obu opozycya ubolewa i żałuje, nawet gani, ale gotowa jest dać co potrzeba: „żaden naród szanujący siebie nie mógłby przyjąć do prostej tylko wiadomości ultimatum boerskiego"—powiedział Campbell-Bannermann gminom, a Kimberley lordom oświadczył, że„ mniejszość gotowa jest poprzeć wszystkie kroki rządu dla obrony interesów państwa." Nie można wątpić o powołaniu w potrzebie potęgi liczbą dorównywającej samie narodowości holenderskiej w obu sprzymierzonych rzeczachpospolitych, w mężkich jej przedstawicielach. O sofistyce Balfoura, Salisburego później. Dillon, poparty przez Labouchere a, zażądał odwołania się rządu angielskiego do rządu rozjemczego w Hadze: wniosek ten miał 59 głosów za sobą, 322 przeciwko sobie. Chamberlaina i Balfoura gminy powitały oklaskami. Entuzyazm narodu w Izbach i za Izbami jest rzeczywiście wielki, aż za wielki na tak małego nieprzyjaciela. Do rozzarzenia go przyczyniło się niemało ultimatum ułożone z motywu wręcz już godności angielskiej uwłaczającego.

W Wiedniu d. 18 b. m. zebrała się Rada państwa. W przeddzień tych fataliów ministeryum zniosło przez ogłoszenie w *Wiener Ztng* rozporządzenia Gautscha z d. 24 lutego 1898 r., przyczem rozproszyło nawet cienie podejrzeń, iżby rozporządzenia Badeniego z d. 5 kwietnia 1897 r. mogły mieć jeszcze jakąkolwiek wagę. Stosunki układać się będą według dawnego rozporządzenia Stremayra. W Izbie poselskiej hr. Clary wygłosił komentarz do swego pierwszego czynu, a w nim zapowiedział prawo o języku równe dla wszystkich. Czesi krzyczeli: „Hańba!" „Lokaje pruscy!" „Kłamcy!" itp. W kraju żywioł czeski wrze, były manifestacye w Pradze i innych miastach. Prawica się trzyma, co w samym początku kampanii nie jest cnotą; trzymają się w niej i Czesi. Uchwała ogólna z d. 24 września jest jeszcze prawem obowiązującem. Koło polskie daje dźwięk niejasny. Lewica zażądała oddania Thuna pod sąd i zniesienia § 14. Rzeczywiście potrzebaby znieść Schönererów i Wolfów i berliński patryotyzm obywateli austryackich *der deutschen Zunge*.

W Bulgaryi d. 13 b. m. nowa skupczyna i nowe ministeryum: Iwanczow—Radosławow.

Stosunki Szwedów z Norwegami wrogie. Norwedzi mają nareszcie flagę narodową. Szwedzki minister spraw wewnętrznych podał się do dymisyi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

GIEŁDA ZBÓJECKA.

Znamienną cechą życia ekonomicznego w chwili obecnej jest stosunkowo dość znaczna liczba upadłości przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Zjawisko to przypisać można różnym okolicznościom: gorączkowe współzawodnictwo aferzystów i przedsiębiorców, napływających do nas z różnych stron coraz większą falą; brak gotówki, a najważniejsza — brak taniego i łatwego kredytu, ogólne powikłanie ekonomiczne, pogorszenie się warunków bytu całych mas, a więc z konieczności otwieranie kredytu szerokim kołom klienteli przez kupców i przedsiębiorców, którzy sami istnienie swe z wielkim trudem opierają na kredycie to są główne przyczyny.

W takich warunkach niewiele trzeba do wywołania katastrofy. Cały gmach handlu lub przemysłu stoi na gruncie podmytym, więc lekki strumyczek w postaci weksłów niezapłaconych przeterminowanych zwala gwałtownie podstawy. Na ruinie i rozkładzie ekonomicznym tej sfery życia, jak i wogóle we wszelkim organizmie obumierającym i ulegającym rozkładowi, lęgną się i mnożą pasorzyty wszelakie, szarpią i dogryzają ofiarę. Na organizmie handlu i przemysłu upadającego szybko się rozmnożyły u nas te bakterye szkodliwe dla całego społeczeństwa; powstał proceder osobny, dający niezłe utrzymanie

---

Napoleon Rouba.

PAN RZĄDCA.

III.

Było parno. Szerokie zwały ciężkich, ołowianych chmur przewalały się nad Warklanami, wiatr zrywał się co chwila i wznosił tumany kurzawy, a od lasu dawały się słyszeć odległe grzmoty.

W salonie dworskim panowała nuda, której nie rozpraszała nadzieja zapowiedzianego widowiska.

Miały być dożynki.

Chcąc zrobić przyjemność bawiącej chwilowo kuzynce, dziedzic polecił kupić cztery garnce wódki i beczułkę piwa, a dziedziczka ofiarowała sporo chleba, sera i twarogu.

Ale teraz oboje siedzieli niespokojni. On zrywał się co chwila do okna, badając kierunek chmur lub spoglądając na zegarek, ona zaś już po raz trzeci pytała męża:

— Czy jeszcze z sądu nie wrócili?

— Już dwa razy odpowiadałem ci, Żanciu, że nie — odparł z lekkim grymasem.

A panna Marya, kuzynka, leniwie uderzała w klawisze i poiła się echem marzeń własnej duszy dziewiczej.

— Zostanie pszenica na polu!—rzekł nareszcie zmartwiony dziedzic.

— Ja sądzę, że nie, gdyż rządca przeleciał już ze cztery razy konno, jak wicher.

— I on nic dziś nie poradzi, skoro ulewa wisi nad nami, a do wieczora została tylko godzina.

— Więc załóżmy się, Arturze! Będzie jakaś rozmaitość — kusiła posągowo piękna kobieta, spoglądając zalotnie na męża.

— Zgoda! Choć w ten sposób odbiję stratę na pszenicy.

— Zobaczymy, Manieczko!—zwróciła się do grającej i rozmarzonej — bądź świadkiem: ja trzymam za energią naszego rządcy, a Artur za wszechpotęgą żywiołu, który nam grozi.

— O cóż zakład? Może i ja postawię na tego oryginalnego pana?— żywo podchwyciła wytworna panna, zbliżając się do małżonków.

— Niech panie oznaczą, zgadzam się na wszystko; wzamian zaś żądam po dwie butelki szampana od każdej.

— Dla mnie sprowadzisz tuzin ananasów na konfitury.

— A ja proszę o całą setkę książeczek.

— Owszem, kuzynko, gdyż zanim je nadeślą, najpilniejsze roboty będą ukończone— odrzekł z ironicznym uśmiechem i ukłonem.

— Chodźmyż na taras! — wezwała pani domu, a wytworny pan Artur natychmiast poprowadził obie damy.

Garbaty ogrodnik właśnie już kończył przygotowanie do uroczystości. Pod olbrzymią lipą na stołach już zastawiono beczułkę piwa, flaszki z wódką, olbrzymie stosy pokrajanego chleba, parę mis z serem i kosz ogórków.

Panna Katarzyna, spowita w chustki, czuwała nad zapasami, drepcząc naokół niecierpliwie.

— To gospodarze uczty — objaśnił pan Artur kuzynce.

— Najidealniejsza para zakochanych — dodała pani Joanna z domyślnym uśmieszkiem.

— Czy będzie i muzyka?— spytała panna Marya.

— O, tak! kilku fornali gra na harmonii, a owczarek jest pierwszym skrzypkiem. Czy mogę dla kuzynki zamówić tancerzy?

— Dziękuję, nie; pragnę być osobiście celem wyraźnych zabiegów — broniła się ze śmiechem.

— Lecz obawiam się, że pan rządca swoją miną grobową popsuje nam całą uciechę — wtrąciła pani Joanna.

— Jest trochę dziecinny i może stracić powagę u ludzi: widziałem go już kilka razy, jak wracał z pola, obładowany ziołami i kwiatami, lub też wieczorem wysiadywał na kłodzie przed czworakami w otoczeniu chłopców i dziewcząt — odpowiedział pan Artur, niechętnie wzruszając ramionami.

— Ach, nie tyle mu chodzi o całą tę sprawę w sądzie, ile o jedną z oskarżonych, uroczą kowalczankę— śmiała się pani.

— To się uwzględnia — odparł mąż z uśmiechem — i gdyby był mię prosił o to

pewnej kategoryi szumowinom i odpadkom społecznym, ku czemu wielce sprzyja forma przetargów publicznych, utrwalona zwyczajowo i prawnie. Cała ta procedura zwykle się odbywa w ten sposób: celem osiągnięcia możliwie najkorzystniejszej sprzedaży towarów, do uczestnictwa w licytacyi powoływany jest najszerszy ogół za pomocą ogłoszeń publicznych, pochodzących od syndyków masy upadłości. W rzeczywistości jednak publiczność prawie żadnego nie bierze udziału, głównie zaś duszą licytacyi bywa kilku procederzystów z pod ciemnej gwiazdy, od których zależy wyłącznie przebieg i wynik licytacyi. Stworzyli oni formalną ligę tak mocną, że jej dotychczas nic zachwiać nie może. Popełniają gwałt i rozbój, używają środków terorystycznych i szerzą swoją działalność bezkarnie coraz zuchwalej.

Rąbek tej smutnej tajemnicy ktoś odsłania w *Kuryerze Codziennym*: „Na licytacyę przybywa kilkudziesięciu Żydów, którzy zakupują cały towar. Stanowią oni zwarty szereg, niedopuszczający nikogo z osób postronnych do przetargu. Ten tylko może uczestniczyć w sprzedaży, kto im haracz opłaci; innych odsuwają groźbą, krzykiem, lub wprost siłą.“ Po za tą działalnością niczem innem oni się nie trudnią. Całem ich zajęciem jest jedynie i wyłącznie asystowanie przy licytacyach. Za „odstępne,“ stanowiące formalny podatek, utrzymują siebie i rodziny. Pomimo iż członkowie tej bandy są wybornie znani wszystkim syndykom i komornikom, podobno w obecnych warunkach niema dotychczas sposobu prowadzenia z nimi walki. Przy licytacyi bywa zwykle tylko jeden urzędnik policyjny, który nie może zapanować nad tłumem wrzeszczącym i nieprzebierającym w środkach. Jeżeli niema nikogo z osób postronnych, jeżeli nikt z kupców do przetargu nie stanie, Żydzi nabywają wszystkie przedmioty po postąpieniu pięciu kopiejek nad taksę, która zwykle stanowi połowę, a nieraz i czwartą część realnej wartości towaru. — Nikt nie daje więcej? — woła woźny. — Nie! odpowiada kilkadziesiąt głosów naraz — i sztuka płótna, oceniona na dwa ruble, przedstawiająca zaś wartość rzeczywistą cztery, przechodzi za dwa ruble i pięć kopiejek na własność tego, który zawczasu opłacił poparcie naganiaczów. Ale skoro tylko do tej zgrai krzyczącej wpadnie człowiek obcy, kupiec nieznany na tej „giełdzie zbójeckiej,“ wtedy rozpoczyna się formalna walka, prowadzona przez wodzów doświadczonych i osiwiałych. Opowiedzmy tę walkę dosadnemi słowami *Kuryera Codziennego*: „Kupca otacza awangarda, złożona z młodych żydków, którzy proszą go nawpół z płaczem, ażeby nie psuł interesu.“ Prośby te zabierają dość czasu, a przed oszołomionym tworzy się nieraz mur ciał żywych, który nie dopuszcza go do stołu licytacyjnego. Gdy prośby nie skutkują, gdy przybyły ma mniejszą czułość, czy większą stałość i dotrze wreszcie przebojem tak daleko, aby głos jego mógł być dosłyszany przez licytującego, natenczas na placu boju występują tyralierzy, a nieraz i ciężka artylerya. W jednej chwili spada kupcowi kapelusz z głowy, a gdy schyla się, by go podnieść, zostaje przygnieciony, pada na ziemię, a cała banda wszczyna piekielny hałas i ze śmiechem krzyczy: „pijany! pijak!“ Gdy i te sztuki nie pomagają, gdy wobec interwencyi syndyka kupiec wreszcie jest do głosu dopuszczony i zaczyna „szkodzić,“ natenczas niema końca wymysłom i obelgom, a szpilki i nieraz noże wchodzą w grę.“

Gwałty takie są zjawiskiem codziennem i stworzyły już osobną charakterystyczną postać rozbojów publicznych, które w innych warunkach popełniane, pociągnęłyby winnych do odpowiedzialności kryminalnej i ściągnęłyby na nich karę jeżeli nie ciężkich robót, to przynajmniej wygnania na osiedlenie po za Uralem. Nie trzeba nawet zbyt długo wyszukiwać kategoryi kary i motywów prawnych względem tych zbrodniarzy, gdyż jak wyraźnie głosi prawo, wszelka zmowa przy licytacyi jest przestępstwem przez kodeks karny przewidzianem, a zmowa z napaścią połączona prowadzi do kryminału. Dlaczegoż więc dotąd komornicy, syndykowie i policyanci muszą być biernymi świadkami tych gwałtów i rozbojów, popełnianych podczas dokonywania uroczystych aktów prawnych? Dlaczego ci ludzie nieszczęśliwi, których los zepchnął w przepaść z drogi pracy samodzielnej, są jeszsze dobijani przez zbirów, stanowiących bandę dobrze zorganizowaną, uzbrojoną w noże i mocne pięście? Oczywiście nie można tu oskarżać o niedołęztwo lub tchórzostwo ani prawnych wykonawców licytacyi, ani jej dozorców. Tu należałoby przeprowadzić szereg śledztw energicznych, wyłapać bandę, pociągnąć ją do odpowiedzialności karnej, zgodnie z brzmieniem kodeksu. Zdaje się taka prosta droga, że doprawdy dziwić się trzeba, jakim sposobem dotychczas pozwalano na ten rabunek publiczny, połączony z rozbojem.

LISTY PETERSBURSKIE.

Język polski w szkołach. — Głos p. Nowikowa: czy szkoła w Rosyi jest potrzebna? — Utrudnienia dla poddanych rosyjskich w politechnice berlińskiej.— Sprawa Mamontowa.

Po porządku dziennym życia bieżącego i opinii prasy znalazło się kilka spraw ważnych, między innemi kwestya polska i szkolna. Pierwsza po dość znacznej przerwie, znowu stała się przedmiotem długich artykułów, polemik i rozpraw, z powodu języka polskiego w szkołach. *Nowoje Wremia* zabrało w tej sprawie głos, którego uwagi musimy zaznaczyć chociaż w streszczeniu. „Nau-

---

wyraźnie, mógłbym ją pominąć w skardze.

— Czy istotnie jest ładna?—badała panna Marya.

— Jak tylko może być ładną dziewczyna z tej sfery — odparła pani Joanna z pogardliwym grymasem na klasycznej twarzy.

— W każdym razie ubędzie nam jako wyborna śpiewaczka, i Barteczkowa, jako równie ładna przodownica.

— A przecież w tym roku prawie nie chodziła do roboty?

— Tak, lecz dziewczęta dotąd jej ustępują pierwszeństwa.

Panna Marya powstała, żeby odejść.

— Muszę zebrać moje drobnostki — rzekła na odchodnem.

— Wyobraź sobie, Arturze, że Marynia pół kufra przywiozła z sobą wstążek i korali i dotąd nie miała sposobności wyczerpać zapasów, obdarzając pokojówki i dziewczęta w ogrodzie — szepnęła ironicznie pani Joanna, lekko zwisając na ramieniu męża.

— Niech się bawi — odparł, nie oddając pieszczoty.

— Czegoś chmurny mi mój pan?—przymilała się dalej, siadając z mężem pod osłoną gęstych splotów dzikiego wina.

— Bynajmniej, aniołku, lecz wyznaję szczerze, że mię drażni ten rządca: ja przecie nie powinienem widzieć jego miny zadąsanej, skoro wynagradzam go tak świetnie i otaczam wszelkiemi wygodami.

— Alež, naturalnie, mój drogi, lecz może sam winien trochę jesteś, zbyt często wzywając go do towarzystwa i zanadto spoufalając z sobą.

— Masz słuszność, Żaúciu, ale powinien był rozumieć, że takie moje postępowanie było dla niego tylko nagrodą, albo też wynikało z powodu, iż brakło mi partnera do bilardu lub do winta.

— Tyś zawsze za dobry, biedny Arturze! — pieszczotliwie szepnęła roztkliwiona żona, a poczynający się zmierzch wieczorny i gąszcz wina pokryły uścisk małżeński długi i wzajemny.

Nagle rozległ się tentent, a przed tarasem mignęła sylwetka jeźdźca na karym wierzchowcu.

— Prosimy pana! — zawołał dziedzic donośnie.

Za chwilę na taras wbiegł rządca w zwykłem płóciennem ubraniu i panna Marya z brzemieniem wstążek różnokolorowych i korali.

— Jakże z pszenicą? — zagadnęła dziedziczka.

— Ostatni wóz już stoi na gumnie.

— Maryniu, wygrałyśmy! — radośnie wykrzyknęła pani, nie wiadomo dlaczego całując kuzynkę.

Rozpromieniony dziedzic wstrząsnął łaskawie ręką rządcy i mówił powolnie:

— Przegrałem zakład lecz mi to robi prawdziwą przyjemność i panu za to mam do podziękowania.

— Niema w tem żadnej zasługi z mej strony, gdyż wszyscy bez wyjątku pracowali ze zdwojoną gorliwością.

— To też, jak pan widzi, czeka tu ich nagroda — odrzekł dziedzic, wskazując na przygotowany poczęstunek i potrząsając [illegible]

— Niechże pan doda dobry swój humor do całości uczty — zachęcała dziedziczka.

— To zależy... — zająknął się młodzian.

— Czy pisarz wrócił? — lekko spytał dziedzic.

— Dotąd nie widać nikogo — odparł rządca, sztywniejąc.

— Liczę na pomoc pańską przy poznaniu się z tutejszym ludem — uprzejmie zwróciła się panna Marya.

— Między lud idzie się z sercem otwartem i znajomością jego potrzeb, a wtedy przewodnika nie potrzeba: gdy zaś tego braknie...

— Jest pan skory do wniosków niczem nieusprawiedliwionych — odparła wyraźnie obrażona.

— Przepraszam, lecz jestem trochę znużony i... muszę państwo pożegnać — odpowiedział łagodniej, składając ukłon.

— Nic z tego, kochany panie! — wdał się dziedzic — na gumnie przy wydaniu obroków zastąpi pana mój Leon, a dzienne rachunki niech pan odłoży do jutra.

— Za chwilę podadzą już kolacyę tu, na tarasie — dodała od siebie dziedziczka.

Młodzian nie mógł być niegrzecznym i wsparł się o słup ganku.

Zmierzchało się.

czanie młodego pokolenia ludności miejscowej mówienia po rosyjsku, stanowi jedno z najgłówniejszych zadań szkoły rosyjskiej; ale nie trzeba przy tem przekraczać pewnych granic. Język ojczysty powinien zająć także pewne miejsce. Obowiązkiem młodzieży polskiej jest poznać język państwowy, ale z tego powodu nie może ona zapomnieć mowy ojczystej. Polacy otrzymali opiekę państwową pod rosyjską tarczą rządową, to też my okrywając tą tarczą wszystkie plemiona, mamy prawo wymagać, ażeby wszelkie zapoczątkowania od państwa wychodziły w języku państwowym, rządowym rosyjskim. Życie samo dostarcza Polakom sposobności do używania swego języka. W sferze rodzinnej, religijnej i literaturze niech panuje język ojczysty. Wspaniałomyślna tolerancya Rosyi odpowiada tutaj zupełnie naturalnym życzeniom, aby żadna gałąź języków słowiańskich nie zamarła, lecz rozwijała się i kwitła, a wcześniej czy później część kwiatów jej wpleciona będzie w mowę rosyjską, która ma wszelkie dane do zostania mową wszechsłowiańską.“

Wychodząc z tej zasady, że nauka języka daje najlepsze wyniki tylko wtedy, gdy w tym języku będą prowadzone wykłady, *Nowoje Wremia* wyraża zdziwienie, że dotychczas w Królestwie Polskiem wykładano język polski po rosyjsku i tym sposobem utrudniano naukę. „Gdy ogłoszono wiadomość o poprawienie tej omyłki pedagogicznej, pisma polskie i ugodowy *Kraj* oświadczyły czytelnikom swoim, że Polacy w nową erę wstępują, a nawet *Kraj* oświadczył, że nie chodzi tu o wykład języka polskiego, lecz wogóle o odbywanie wykładów w szkołach po polsku.“

To właśnie dało powód *Nowemu Wrem.* do obszernego artykułu, w którym usiłuje dowieść, jakieby to były zgubne następstwa, gdyby istotnie w szkołach Królestwa wprowadzono wogóle wykład po polsku. Przy tej sposobności pismo roztrząsa znaczenie wyrazu „ugoda,“ wypowiadanego przez wielu Polaków w znaczeniu szyderczem, przez innych zaś brany w znaczeniu zbliżenia lub pojednania. „Polacy nie są, jak dawniej wrogami Rosyi, dzisiaj są to poddani państwa rosyjskiego. Od poddanych zaś można oczekiwać nie „porozumienia się,“ lecz poddania i posłuszeństwa. Umowa z poddanymi może tylko nosić charakter prawa. Dobroduszna łatwowierność rosyjska wydała już owoce na gruncie finlandzkim. Wątpliwe jest, czy chcielibyśmy zbierać takie same plony z niwy polskiej. Z tem zastrzeżeniem przypuszczamy, że kierunek ugodowy zawiera w sobie pewien pożytek i wartość. „Ugoda“ świadczy o pewnem wytrzeźwieniu świadomości, że to co się stało, już się nie odstanie, a więc o zbudzeniu się rozsądku.“

Po tych uwagach *Nowoje Wrem.* zwraca się do pism polskich i napomina je za tryumf przedwczesny z powodu języka polskiego w szkołach. Co do wprowadzenia wogóle wykładów po polsku — nie przypominamy sobie, ażeby w artykułach lub uwagach pism polskich był wyrażony choćby jakiś cień nadziei w tej mierze. Skąd *Nowoje Wremia* wydobyło taką niedorzeczność?

Okólnik ministra oświaty tak silnie poruszył umysły, że kwestya szkolna wypłynęła na szpalty pism. w najróżnorodniejszem oświetleniu. Zajrzano do najgłębszych, najbardziej zaśniedziałych szczegółów rutyny pedagogicznej, wysunięto na jaw najważniejsze potrzeby ludności w zakresie oświaty. Z bardzo licznego chóru wyróżnia się jeden głos p. Nowikowa w *Peterb. Wied.* Zaznacza on znamienną sprzeczność pomiędzy słowem a czynem: Ci, co twierdzą, że szkoła jest potrzebna, wcale nie uznają jej znaczenia właściwego, lecz godzą się z jej koniecznością, a jakby mimowoli, ze wstydu uznają szkoły na równi z innemi potrzebami: drogami, policyą wiejską ulepszoną, portem na oceanie Lodowatym itd. Wielu nawet przyznaje tym i innym potrzebom pierwszeństwo. W gwałtownych nawoływaniach o szkołę widzą przesadę i wątpią, czy rzeczywiście zapewni ona takie szczęście. — „Co nam ze szkoły, gdy nie mamy co jeść.“ Zapominają, czy nie wiedzą, nieboracy, że dobrobyt jest ściśle związany z oświatą. P. Nowikow stara się tę dawną i dowiedzioną prawdę wyłożyć swym czytelnikom za pomocą przykładów ze świata cywilizowanego. Między innemi powołuje się na Japonię, która dziś już posiada dziesięć uniwersytetów dla mężczyzn i dwa dla kobiet. Dzięki szybko rozwijającej się tam oświacie doszło do tego, że Japończycy przyjeżdżali na Kaukaz i chcieli dopomagać Rosyanom w wydobywaniu nafty.

Dlaczegóż dobrobyt nie jest widoczny śród mas ludności w Rosyi, pomimo że powstało już szkół dużo? Takie pytanie przewiduje p. Nowikow i odpowiada na nie w ten sposób: „Czyż to szkoły? Nasze szkoły, zarówno ziemskie, jak i parafialne, są bardzo liche. Mówimy o szkole, że jest ona sumą tego wszystkiego, co może wyprowadzić lud ze stanu dzikości, gdy tymczasem pojmujemy szkołę jako naukę czytania według elementarza i ani kroku dalej! Czy nie jestże to podstawa bez gmachu? (może odwrotnie? — *przyp. koresp.)*. Kto wie, czy nie lepiej byłoby unikać wydatków na taką szkołę.“

Tak zwaną nadprodukcyę inteligencyi p. Nowikow słusznie uważa za pozorną: „Nauki dla nauki u nas nikt nie szuka. Skończyłem kurs dajcie mi 2,000 rb. pensyi. W Ameryce student uczy się w zimie, latem zaś jest woźnicą, po pięciu latach inżenierem. a przy sposobności znowu woźnicą. Jest to objaw zwykły. Niech-no u nas prawnik zostanie pisarzem gminnym wnet wszystkie dzienniki roztrąbią o tem, a nadto naczelnik ziemski nie przyjmie go; jeżeli zaś przyjmie, to rozciągnie nad nim dozór. Pomyślmy jednak, czyż pisarz gminny może być nieprawnikiem? Dziwna jest u nas obawa oświaty. Wielu seminarzystów, mających świadectwa drugiego rzędu, dąży do akademii duchownej własnym kosztem. I oto stój! Brak miejsca!“

Powszechne dowodzenie, iż niema pieniędzy, wtedy, gdy chodzi o szkołę, p. Nowikow zbija w ten sposób: „Budżet wzrasta olbrzymio. Wydajemy setki milionów na przedsięwzięcia, które mogą zapewnić dochód dopiero w odległej przyszłości. A na szkołę niema pieniędzy? Zresztą gdyby istotnie chodziło tylko o pieniądze, to czemużbyśmy mieli utrudniać inicyatywę prywatną? Czemu nie rozszerzamy programów, lecz ograniczamy je? Czemu wszystko reglamentujemy i tym sposobem hamujemy rozwój?

Z braku miejsc i zakładów naukowych w obrębie państwa, młodzież dąży po naukę za granicę, gdzie zaczyna coraz dotkliwiej uczuwać utrudnienia, zwłaszcza w Niemczech. *Siewiernyj kraj* zwraca uwagę, iż w roku bieżącym szczególnie jest utru-

---

Służba wyniosła na taras stół i zastawiła porcelanę, kryształy i srebro, dodając kilka lichtarzy ze szklanemi kulami.

Ogrodnik wyszedł na chwilę, za sztachetami dały się słyszeć stłumione głosy i chichot, a wreszcie rozległa się w ciszy wieczornej raźna pieśń żniwiarzy.

— Już idą! — sygnalizowała szafarka, szczelniej otulając się chustkami.

Oboje państwo stanęli na dolnych stopniach tarasu, pani jednem ramieniem przygarnęła do siebie kuzynkę, dwóch lokajów stanęło z boku z rzęsistemi kandelabrami, a dziedzic układał w kieszeni kamizelki pojedyncze ruble.

Zbliżył się orszak.

Przodem szła kwadratowa dziewka, Krystogorajczanka, mając obok siebie dwie zastępczynie; niosły duży wieniec z pszenicy, mniejszy z żyta i najmniejszy z kwiatów polnych i łąkowych.

Szły, niby zawstydzone a za niemi waliła pstra ciżba chłopców i dziewcząt, wrzeszczących bez ładu i składu.

Polowy, z zakrzywioną pałą na ramieniu, wystąpił z oracyą do jasnych państwa, lecz nie mógł wybrnąć z powodzi jasności.

Dziedzic z dziedziczką przyjęli wieńce zbożowe, panna Marya raczyła odebrać wianek z kwiecia, a ogrodnik na uboczu łyknął pierwszy półkwaterek.

Zaczem dziedzic machał ręką od własnej kamizelki w kierunku dłoni przodownic i polowego, a dziedziczka z kuzynką jęły ozdabiać dziewuchy wstążkami i koralami, pytając szafarkę o imiona i nazwiska.

Wtem huknął ogrodnik z całego gardła:

— Niech żyją nasze jasne państwo i dziedzice!

— Niech żyją! — odwrzasnęło kilka pastuszków i chłopiec kredensowy.

Rządca stał nieruchomy i zapomniany.

Wtedy kucharz z karbowym zaczęli zgarniać ludzi pod lipę na poczęstunek, a lokaje skoczyli po kolacyę dla państwa.

— Gdzież pan rządca? — zaniepokoił się dziedzic.

— Jestem — odparł młodzian.

— Przepraszam pana, lecz takie chwile rozrzewniają, i panu za to również serdecznie dziękuję.

— Zebraliśmy dwa tysiące czterysta kóp pszenicy, sześćset pięćdziesiąt żyta i czterysta osiemdziesiąt wozów rzepaku — odparł ów spokojnie.

— Bardzo ładny zbiór, lecz mam nadzieję, że w przyszłym roku jeszcze będzie większy.

— Być może

— Proszę panów! — wezwała pani.

Dziedzic na to wezwanie ruszył z kieliszkiem madery ku stopniom tarasu i wezwał ogrodnika z flaszką gorzałki.

— Piję za wasze zdrowie, a ty, Ambrożewicz, napij się tam z ludźmi.

— Ponownie nalany kieliszek podał za powrotem rządcy, mówiąc:

— Za wspólną pracę i powodzenie!

— Dziękuję panu, wina nie pijam, więc skoczę na chwilę pod lipę.

— Ależ tu jest starka! — podchwyciła uprzejmie dziedziczka.

Młodzian nie dosłyszał, bo już był w tłumie i, sięgając po czarkę, spotkał naprzeciw siebie olbrzymiego Barteczka ze szklaneczką wódki.

— Wszak dotąd nie piłoś?

— O! dziś, panie, piję i pić będę! — głośno wykrzyknął, wyraźnie już pijany.

Rządca się wzdrygnął, niemile dotknięty, lecz w chwilę później doznał jeszcze przykrzejszego wrażenia, zoczywszy w tłumie kowala.

— Któż poszedł z Zośką?— spytał ostro, widząc, iż ten wstrętnie szuka kolejki przy flaszce.

— A matka, panie! Nawarzyły to piwo, niech piją, ja ta wolę gorzałkę dobrego pana.

I śmiał się rozgłośnie, ale jakoś dziwnie.

Młodzieniec wrócił do stołu jeszcze chmurniejszy.

Panna Marya coś szepnęła dziedziczce, ta znów o czemś mówiła z szafarką, dziedzic zaś natarczywie kładł rządcy na talerz aż dwa duże bifsztyki.

Pod lipą rozległy się okolicznościowe śpiewy, wymuszone przez ogrodnika, kucharza, gorzałkę i piwo.

Chwalono jakiegoś pana na zamku i panią z zielonego dworu, a oboje państwo płonęli ze wzruszenia, wreszcie dziedzic sięgnął jeszcze po trzy dodatkowe ruble.

dniono przyjmowanie rosyjskich poddanych do politechniki w Berlinie. Przeciwko przybyszom obcym są wrogo usposobieni zarówno studenci-Niemcy, jak i profesorowie. Rektor tego zakładu naukowego, prof. Ridler, w osobnej książce („Unsere Hochschulen und die Anforderung des XX-ten Jahrhunderts") dowodzi, że masowo napływające z Rosyi żywioły są niepożądane, że oświecanie tej młodzieży obcej nie zgadza się ani z interesami kultury, ani państwa, ani wreszcie przemysłu. Wmyśl takich pojęć podobno postanowiono nadal prawie zupełnie zamknąć podwoje politechniki berlińskiej przed przybyszami z Rosyi. Jeszcze niedawno od kandydatów, poddanych rosyjskich, żądano albo świadectwa maturitatis, albo dowodu skończenia siedmiu klas gimnazyum realnego (dawniej przyjmowano z klasy 6-ej); zresztą poprzestawano i na innych świadectwach, skoro tylko były one poparte zapewnieniem konsulatu rosyjskiego, że w Rosyi dają prawo wstępu do wyższych zakładów naukowych. Ale oto nowy minister wydał okólnik, który głosi, że świadectwo z ukończenia siedmiu klas szkoły realnej będzie miało znaczenie tylko wtedy, jeżeli kandydaci w Rosyi zdali egzamin konkursowy. Warunek taki, jak wyjaśnia *Siewiernyj kraj*, stworzono na podstawie tekstu świadectw rosyjskich, w których powiedziano, że do wyższych szkół specyalnych wolno wstąpić tylko po zdaniu egzaminu sprawdzającego.

Sprawa milionera moskiewskiego, Mamontowa, oskarżonego o sprzeniewierzenie i roztrwonienie przeszło czterech milionów rubli, żywo poruszyła obecnie opinię publiczną. Człowiek ten, jeszcze niedawno kolos finansowy, cieszył się zaufaniem ogółu i sympatyą powszechną. Powierzano mu ogromne sumy na cele publiczne. Dziś siedzi on w więzieniu i jeżeli wyjdzie z niego, to jako nędzarz. Sprawa ta ma doniosłe znaczenie społeczne i ekonomiczne z tego względu, że wplątała mnóstwo przedsiębiorstw i instytucyj, których byt jest podkopany. Miliony, będące własnością kolei Moskiewsko-Archangielskiej, przechodziły do kas fabryk, które z koleją wiązała tylko ta nić, że Mamontow był założycielem tych wszystkich przedsiębiorstw. Nie dość mu było milionów, ofiarowanych na oświatę ludową przez osobę prywatną. Zabrał jeszcze milion na własne potrzeby z kasy przedsiębiorstwa, którego był prezesem. Nikogo jakoś nie dziwiła ta jedność kas. Dopiero gdy milionera uwięziono, rozbiegł się popłoch od Moskwy aż po Lenę. Mnóstwo ludzi spostrzegło nagle przepaść ruiny. Masy dziatwy ubogiej, nad którą jakaś ukryta ręka dobroczyńcy miała rozpędzić mroki za pomocą ofiary milionowej, pozostanie nadal w ciemnościach. Dzieło epokowe zniknęło w rozmachu życiowym Mamontowa. A jednak są jego żarliwi obrońcy, nawet na szpaltach pism. Ktoś błaga dla niego o pobłażliwość społeczeństwa, gdyż był to „człowiek utalentowany, łatwo ulegający ideałom, skrzywdzony skutkiem przesadnego zaufania do ludzi, lecz nigdy niegodnący za zyskiem, nie kapłan złotego cielca." Zdaje się atoli, że niezbyt wysoko były „ideały" tego „człowieka utalentowanego," którego „duszy artystycznej" sprawiedliwość nie uwzględnia, pomimo iż stworzył sobie pomnik ze zbiorów dzieł sztuki i kosztownych mebli stylowych.

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Cofnięcie się Austryi. — Zwycięztwo Niemców. — Cesarz austryacki stanął po ich stronie. — Koło polskie i jego stanowisko. — Proces Zimy i in. — Wędrychowski. — Szczepanowski. — Kto winien? — Towarzystwo muzyczne. — Wybór dyrektora. — Wymagania niektórych tak zwanych muzyków lwowskich.

Stało się nareszcie. Austrya po trzydziestu latach wahania się nawróciła znowu do dawnej mrzonki — niemieckiej idei państwowej, jako przewodniczki rządu. Po ustępstwach na rzecz Węgrów, po klęskach Sadowy i Królowego grodu można było mniemać, że się wyleczyła z zachcianek niemieckich i przekonała się, że dla przyszłości swojej, jako państwa, musi oprzeć się na jednakiej sprawiedliwości dla wszystkich ludów i krajów, składających ją. Przez 30 lat szła bardzo powoli tą drogą, ale szła. Dążyła bezwiednie samą siłą rzeczy do federalizmu przez system autonomiczny krajów, chociaż jej mężowie stanu i politycy upatrywali w federacyi „obniżenie stanowiska państwowego Austryi." Wydanie jednak tak zwanych rozporządzeń językowych w Czechach, regulujących prawa narodowościowe, stało się nad wszelkie spodziewanie hasłem do walki wszystkich przeciwko wszystkim. Niemcy, upatrzywszy w tych rozporządzeniach zamach na ich prawo narodowe i państwowe, rozpoczęli wojnę z państwem i większością w sposób niesłychanie stanowczy, brutalny i bezwzględny. Imię tej wojny — „obstrukcya." Polegała ona na zupełnem niedopuszczeniu do prawidłowej pracy parlamentu wszelkimi sposobami. Garstka zuchwałych ludzi, zbrojnych ideą pangermańską, obalała ministeryum jedno po drugiem i nareszcie dokonała swego. Dążyli oni do usunięcia rozporządzeń językowych, które miały stać się podwaliną sprawiedliwości państwowej w Austryi i zdobyli to nie drogą prawa, lecz gwałtu i postrachu. Przekonali równocześnie wszystkie podobne państwa, że konstytucya i oparte na niej rządy parlamentarne posiadają wielkie wady, bo nietylko nie zawsze można rządzić z większością, ale przeciwnie mniejszość może robić, a co ważniejsza, zrobić, co się jej podoba.

Cesarz zdecydował się powołać ministeryum urzędnicze, polecił znieść rozporządzenia językowe i w ten sposób dokonać „uspokojenia" państwa. „Uspokojenie" z takim charakterem wygląda dość humorystycznie: Słowianie austryaccy upomnieli się o prawo używania swego języka w sądzie, urzędzie i szkole, a rząd austryacki, ażeby ich „uspokoić" zabronił im tego, a przynajmniej prawo to sprowadził do granic minimalnych.

Na tę akcyę „z najwyższego miejsca," jak u nas mówią, złożyły się jednak dość skomplikowane warunki. Przedewszystkiem przeciwko „słowiańszczeniu" Austryi wytworzyła się opozycya w rodzinie Habsburgów, która, nie mogąc zrozumieć ducha nowych czasów, a nie chcąc rozstać się z tradycyą niemieckiego pochodzenia i dawnych rządów, parła na decyzyę cesarza w duchu zadowolenia nie całości państwa i sprawiedliwości, lecz niemieckiej przeszłości. Widziała ona niebezpieczeństwo nie w nieładzie państwowym i wzajemnem powaśnieniu $^{3}/_{10}$ ludów Przedlita-

---

Panna Marya rozmarzonemi oczyma spoglądała na rządcę, a za sztachetami rozległa się przygrywka na przeraźliwie piszczącej harmonijce.

Nagle u stóp tarasu stanęła w mroku jakaś figura.

Poznano pisarza.

— No cóż tam, panie Osiodłowski? — spytał dziedzic zcicha.

— Wygraliśmy, jaśnie panie! Wszystkie trzy sąd skazał na miesiąc więzienia — odparł zapytany z radosnym tryumfem i niskim ukłonem.

— Tak i myślałem! — mruknął dziedzic, z ukosa spojrzawszy na pobladłego rządcę.

— Czy jaśnie pan co rozkaże? — zapytał pisarz.

— Jesteś pan wolny i idź na kolacyę — odparł dziedzic, niewzruszenie uprzejmy i spokojny, a pani Joanna własnoręcznie nałożyła na talerz z półmisków i podała przez lokaja pisarzowi.

— Serdecznie panu współczuję! Jaka to ciężka konieczność i jak pełnem poświęcenia jest życie nasze śród ludu! — cichutko powiedziała panna Marya, podsuwając rządcy kosz z brzoskwiniami.

Pod lipą, w zwartej kupie ludzi, była cisza: słychać było ciężkie sapanie lub mlaskanie gęb żujących i stłumione szepty.

— Gdzież są te... te nieszczęśliwe? spytała panna Marya Artura.

— Owszem, niech przyjdą; nie mam nic przeciw temu, ja im nawet teraz gotów jestem darować... — odparł wytwornie uśmiechnięty dziedzic, podsuwając rządcy papierosy.

— Niechby jeszcze pośpiewali, a potem zatańczyli — zwróciła się dobra dziedziczka do szafarki.

Pod lipą rozległ się głos pijanego kowala:

— Jakie to głupie ludzie! Co wam do tego, kiedy ja, ojciec rodzony, mówię bez urazy jaśnie państwa, co sąd sprawiedliwie postanowił.

— A ja tak i służyć za forszmana nie będę! — wrzasnął Barteczek i ruszył, roztrącając ciżbę przez ogród ku folwarkowi.

Na skinienie dziedzica dwóch lokajów stanęło w opozycyi obronnej.

Coś, niby mróz, zwarzyło wytworne twarze państwa, panna Marya pobladła, a rządca powstał z miejsca.

Lecz znowu rozległ się śpiew. To Krysta układała strofy z własnego natchnienia, a chór podchwytywał:

U naszego pana
Służba jest cacana;
Za garść trawy, zbędziesz sławy,
Wyjdziesz oszczekana.

— Musiałeś im dać za dużo wódki, aniołku? — szepnęła dziedziczka, czule spoglądając na męża.

Pod lipą znowu rozległo się:

Nasza pani jasna,
Nikiej matka własna:
Wycałuje pożałuje,
Ze ta koza ciasna.

— Jak ten lud nasz mało ma poezyi i delikatności uczucia! — bolał dziedzic, zwracając się do rządcy.

— Bo też życie go nie pieści, a wrogów ma zbyt wielu.

— Miałem im oto darować już, a teraz tracę ochotę, gdyż obawiam się, żebym tego kroku później nie żałował.

— Niechże pan to zrobi i, jeśli można prosić, to zaraz — szepnął wzruszony młodzieniec.

— Ha! dziś panu niczego odmówić nie mogę.

— Proszę jaśnie pana! — doleciał nieśmiały głos pisarza od stopni tarasu.

— Cóż tam panie Osiodłowski?

— Pan sędzia kazał powiedzieć jaśnie panu, że teraz już wina nie może być darowana i muszą iść wszystkie do więzienia.

— Czy tak? No, widzi pan? Teraz już chyba nie ja winien jestem ich doli!

— A gdybyś poprosił, kuzynku, od siebie sędziego? — wtrąciła panna Marya, lekko płonąc.

— *Impossible!* Prawo jest niewzruszone i... może lepiej, że się tak stało.

Rządca złożył ukłon w milczeniu i opuścił towarzystwo.

— Odprowadzę pana trochę! — podchwycił dziedzic, lekko ujmując młodzieńca pod ramię.

(C. d. n.).

wii i Zalitawii, lecz w możności wyzyskania wpływów pruskich na korzyść $^1/_{10}$ części — Niemców. Nie chcę analizować tych stosunków. Z innej strony—od Węgrów—było i jest ciągle parcie wewnętrzne. Znajdują się oni w tem samem położeniu względem Słowian u siebie, co Niemcy w Przedlitawii. Gdyby Węgrzy trochę tylko popuścili cugle Słowianom, fala słowiańska zalałaby ich: o to samo trwa walka i w Przedlitawii. Węgrzy przeto, gospodarując u siebie absolutnie, wytrwale bronią się od fali słowiańskiej, a tam, gdzie ona górę bierze, w Austryi, usiłują nie dopuścić jej do wzmocnienia się. I teraz oni są pokątnymi maklerami w całym zatargu niemiecko-słowiańskim. Jak dalece boją się wszelkiego porozumienia i choćby cienia solidarności słowiańskiej, świadczy najlepiej zakaz wzięcia udziału dziennikarzom słowiańskim na Węgrzech w zjeździe krakowskim.

Mamy zatem ministeryum urzędnicze, z dwoma Polakami jako dowód, że „rząd nam sprzyja.“ którzy teraz będą podpisywać „befele“ — wbrew interesom narodowym Galicyi.

Najdziwniejszem jest w tej sprawie stanowisko Koła polskiego zarówno do rządu, jak i do głównych swoich sprzymierzeńców, Czechów. Kiedy prawica istniała jeszcze w całym swoim blasku, nie powiem: sile, kiedy rozporządzenia językowe dla Czech obowiązywały Niemców, kiedy Wolff, Schonerer itp. robili „obstrukcyę,“ hamując roztrzęsiony wóz państwa austryackiego, Koło stało po stronie rządu, broniąc go wszelkimi możliwymi i niemożliwymi sposobami; teraz, gdy rząd rakuski wywinął koziołka i unicestwia to, co sam stworzył, gdy wyraźnie zwyciężyła hałaśliwa mniejszość, gdy sprzymierzeńcy Czesi, oburzeni złamaniem przyrzeczenia rządu, zapowiadają opozycyę, Koło obwieszcza narodowi, że członkowie jego będą „najposłuszniejszymi wykonawcami woli monarszej,“ a niektórzy wprost mówią pokornie, że będą stać wiernie „przy polityce cesarskiej.“ Powiadają, że polityka jest dziedziną niespodzianek, to rozumiem, ale tego nie rozumiem, dlaczegoby polityka miała być dziedziną niekonsekwencyi i nielogiczności. Chyba że za tą niekonsekwencyą kryją się jakieś głębokie zamiary, których zwykli śmiertelnicy przeniknąć nie mogą. Tak czy inaczej, stanowisko Koła polskiego jest niewyraźne i niezdecydowane. Polityka jego pachnie trochę — służbą. Przed trzema laty członkowie Koła, broniąc rozporządzeń językowych, bili się z Niemcami i łajali publicznie w parlamencie i prasie ze stanowczością, z jaką nigdy interesów Galicyi nie bronili, widząc w nich środek jedyny do uspokojenia państwa i krajów; dziś głoszą, że będą „najposłuszniejszymi wykonawcami woli monarszej,“ która, ażeby ułagodzić miłość własną Niemców i uspokoić strach Węgrów, znosi te same rozporządzenia. Prawda, my jesteśmy bardzo grzeczni, a cesarz sam powiedział do polskich przywódców: „Mam nadzieję, że mi nie będziecie robili trudności.“ Jak ma być galanterya, niech będzie i w polityce. Obaczymy, co to z tego będzie.

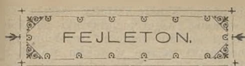
Lwów zajęty jest teraz dwiema sprawami bardzo smutnemi, ale bardzo charakterystycznemi: jedną jest proces kasy oszczędności przeciw Zimie i in., drugą — awantury w Towarzystwie muzycznem. Co do pierwszego, stała się rzecz niesłychanie dziwna: publiczność do niedawna rozpalona, że tak powiem, plotkami dziennikarskiemi i obłudną zgrozą stańczyków, gotowa była wszystkich oskarżonych wywieszać, a teraz, słuchając ich, wychodzi z sali z zapytaniem: któż tu właściwie winien, gdyż ci, którzy na ławie oskarżonych siedzą, godni są raczej litości, niż kary? Wrzekoma wina Wędrychowskiego, buchhaltera kasy oszczędności, polega na tem, że otwierał konta, które mu kazał otworzyć dyrektor, żadnego fałszowania rachunków, żadnego osobistego nadużycia; świadkowie jednogłośnie twierdzą, że to człowiek prawy, uczciwy, pracowity, w wymaganiach swoich skromny, niezdolny do oszustwa, nieposiadający ani majątku, ani zdrowia. Zeznania jego robią wrażenie takiej prawdy, że nawet prokurator nie w nich doszukać się nie może. Obrona Szczepanowskiego jest tak głęboko wzruszająca swoją prostotą i prawdą, że niepodobna jej słuchać bez pewnego pognębienia moralnego. Człowiek po nad zwykłą miarę rozumny i wykształcony, po nad zwykłą miarę prawy i czysty, staje przed sądem obwiniony o współwinę oszustwa wraz z dyrektorem Zimą popełnionego i musi spowiadać się publicznie z całego swego życia, z całej swojej pracy, wyświetlać te drogi, któremi szedł od sławy do upokorzenia. I cóż się pokazuje? Jeżeli on jest winny, to tylko względem siebie samego i rodziny, lecz nie wobec kraju i kasy oszczędności. Zgubiło go szczęście i bezgraniczna dobroć i szlachetność. Szczęście odkryło przed nim szeroki horyzont stworzenia wielkiego przemysłu w kraju bardzo ubogim — raczej zubożonym przez rząd rakuski — zanim zdołał nabrać najtrudniej zdobywanej mądrości na świecie — doświadczenia. Nafta trysnęła mu strumieniami, węgiel roztaczał się na powierzchni dziesiątków kilometrów tuż pod nogami, powołano go, mimo woli i wiedzy, do Sejmu i do Rady państwa, stanął na czele Izby handlowej — czy może więcej żądać człowiek obdarzony niezwykłemi zdolnościami, duszą obywatelską i gorącą chęcią do pracy? Nadmierny rozwój licznych przedsięwzięć wymagał kredytu — Sz. miał go, ile chciał, ale potrzeba było zająć się interesami własnymi. Ten człowiek, który z imponującą śmiałością układał, bronił i reformował budżet państwowy, nie miał czasu na rozpatrzenie się we własnym budżecie, nie miał czasu zastanowić się nad własnemi sprawami przemysłowemi. Interes dawał miliony, setki ludzi skwapliwie rozdrapywały dochody, dziesiątki robotników miały dzięki jego rzutkości dostatni chleb powszedni, w ciągu kilku lat przedsiębiorstwo wypłaciło milion okrągły procentów, a on? Nic nie miał. Trzy do czterech tysięcy rocznego dochodu. Szlachetność jego nigdy nie była z krzywdą innych, zawsze — własną. Gdy napierali dłużnicy lub kasa oszczędności, gdy się przedsięwzięcia chwiały i groziły upadkiem, nie robił tak, jak robią oszuści: nie ukrywał gotówki na czarną godzinę, lecz spieniężał wszystko za bezcen, ażeby długi płacić. Interes w Schodnicy (nafta) sprzedany za milion — dziś wart 10 milionów. Któż tu winien? Tu można doszukać się niedoświadczenia, łatwowierności, szlachetności idealnej, tak rzadkiej, że przed nią można głowy uchylić. Gdyby nie sprzedaż Schodnicy — z rozkazu, byłby Szczepanowski stanął mocno i długi pokrył.

Są tu jednak w tej całej sprawie winni, ale ich niema na ławie oskarżonych. Nie ten grzeszy, co pożycza pieniądze dla prowadzenia przedsiębiorstwa przemysłowego, lecz ten, kto cudze lekkomyślnie daje, kto powinien pilnować dyrekcyi i kontrolować jej czynności. Zima zawinił samowolnością i przepłacił to życiem, lecz żyją syndyki, dyrektorowie nominalni, komisya kontrolująca, komisarze rządowi. Ich obowiązkiem było położyć tamę nadmiernemu kredytowi. Nie dziwię się, że Zima pożyczał, bo każdy bank pożycza na interes świetny — a świetnym on się wydawał Zimie. Inni powinni byli pilnować granic. Osobiste przekroczenia czy błędy Zimy, czysto ludzkie, do nas nie należą. Tacy winowajcy mogą znajdować się między ludźmi każdego stanu majątkowego, każdego zawodu i nie w tem leży środek ciężkości całej sprawy. Stosunek Zimy osobisty do kobiety wyzyskują najgłośniej obłudnicy.

Przykro powiedzieć, ale to fakt niezaprzeczony, że nadmierny rozgłos i fałszywe oświetlenie sprawie kasy oszędności nadała nasza prasa miejscowa, która, powodowana osobistemi żalami, dała się złapać na fałszywy purytanizm stronnictwa konserwatywnego w Galicyi, pragnącego skorzystać ze sposobności, ażeby opozycyę uderzyć maczugą. Szczepanowski na współkę z innymi, a przedewszystkiem przy pomocy Zimy, założył był dziennik *Słowo*, które wytworzyło konkurencyę dość dużą ledwie dyszącym gazetom miejscowym. Niekoleżeńskie i nietaktowne wystąpienie *Słowa* zraziło wszystkich — a więc: hej-że na Soplicę!

Parę uwag o Towarzystwie muzycznem we Lwowie. Nie pisałbym o niem, gdyby walka, jaka się w łonie jego wywiązała z powodu wyboru dyrektora konserwatoryum, nie była charakterystyczną dla stosunków naszych. Na miejsce zmarłego miano powołać innego. Kogoż Tow. muzyczne może wybrać? Juźci nie p. Flakowicza, rzeczywistego, jak się zdaje, właściciela handlu win i delikatesów, lecz muzyka, mającego zdolności, popularność i, jeżeli można, sławę. Bo taka to już wada natury ludzkiej, że będziemy chętniej skupiać się koło tych, nad których czołem świeci gwiazda wielkiego talentu, niż takich, dla których ideałem jest knajpa. Nie chcę przez to ubliżyć ani Flakowiczowi, ani Musiałowiczowi, ani Bauerowi, wierzę, że mają wielkie zasługi około naszego zdrowia, że są ogniskami skupiającymi inteligencyę miejscową, równie jak zasłużony na tem polu Najsarek, ale żadnego z nich na dyrektora do konserwatoryum nie zaproponuję. Są oni niewątpliwie doskonałymi administratorami swoich interesów, lepszymi niż Szczepanowski, ale nikt tych panów, z powodu ich zdolności administracyjnych, ani do Sejmu, ani do Rady państwa nie zalecił. Do tego potrzeba innych jeszcze zdolności. Coś podobnego dzieje się w Tow. muzycznem. Jest dwóch kandydatów: Henryk Melcer i Sołtys. Oba znani i zdolni. Gdyby wybór odbywał się normalnie, byłoby mi rzeczą obojętną, który z nich stanie na czele. Osobiście wolę Melcera. Jako muzyk posiada on dar przemawiania do duszy ludzkiej i porywania jej za sobą, co jest niewątpliwie dowodem, że i ze swojej duszy coś wydobyć umie. Ale powiadają, że nie jest administratorem. Gdyby nawet tak było, nie można przecie robić zarzutu poecie z tego, że nie umie guzików przyszywać do kamizelki, a kompozytorowi — że będzie prawdopodobnie złym administratorem. Do tej czynności ma on wyręczycieli. Czy Haydn, Mozart, Beethoven byli wielkimi dlatego, że liczyli grosze, obemali pensye profesorom lub za pomocą uśmiechów zdobywali większe honorarya dla siebie, czy też dlatego, że przyszli na świat z blaskiem geniusza w duszy, a wykształciwszy go, rzucali potem jego promienie w dusze innych?

Większość w Tow. muz. — tylko liczebna, niestety, nie życzy sobie H. Melcera. Dlaczego? Dla tych panów jest on muzykiem za — dużej ręki, gromadzi się koło niego grono słuchaczy dość wykwintnych i dobrze wychowanych, nie potrafi może zniżyć się do popularności knajpowej — oto jego winy. To też amatorowie nie tyle muzyki i poezyi, ile kufłów, cały swąd knajpiarzy i brud podłóg wyrzucają na H. Melcera, byleby tylko wybrać dyrektora „odpowiedniego.“ Nie oni wiedzieć o tem nie chcą, że gorsząca, uliczna prawie walka, jaką teraz prowadzą ci wrzekomi przyjaciele muzyki, doprowadzi może do rozbicia Towarzystwa, do wycofania się z niego ludzi, miłujących sztukę, lecz nie bardy, nacechowane ambitnemi zachciankami. *Uko.*



PAMIĘTNIK.

Rocznica Chopina.

Obok Kopernika Chopin jest drugim Polakiem, którego genialność została uznaną w całym świecie ucywilizowanym. Rozległością sławy swojej przewyższa on największych naszych mężów. Pod tym względem ustępują mu nawet Mickiewicz, Słowacki, Matejko i inni. Autor „Pana Tadeusza" nie wszędzie jest znany i nie wszędzie tak wysoko, jak u nas, ceniony; autor „Beniowskiego" ma jeszcze mniejszy krąg chwały: twórca „Kazania Skargi" nie budził w Europie powszechnego zachwytu. Tymczasem Chopin jest w każdym oświeconym narodzie przedmiotem bezmiernego uwielbienia. Niema konserwatoryum, w którem jego utwory nie zajmowałyby naczelnego miejsca w studyach, niema koncertu fortepianowego, w którymby one nie były grane, nie znamy głosu krytycznego, który by mu odmawiał genialności mistrzowstwa. Jest to więc jedyny artysta polski wszechświatowego znaczenia.

Naturalnie dla nas jest on szczególnie drogim, bo nietylko przez swój geniusz, ale przez te cudowne pieśni, które splótł z tonów czysto narodowych. Trudno nawet wyobrazić sobie, ażeby proste, ospiewane i osłuchane motywy twórczości ludowej mogły być oprawione w kunszt doskonalszy. Że względu na tę prostotę tematow i artyzm formy, muzyka jego stanowi jedyne w historyi tej sztuki arcydzieła.

Pięćdziesiątą rocznicę zgonu nieśmiertelnego a tak ściśle z duchem narodu złączonego mistrza uczczono w Warszawie nabożeństwem i koncertem. Dlaczego nabożeństwo odbyło się w katedrze, a nie w kościele św. Krzyża, gdzie przechowuje się serce Chopina? Jeżeli chcemy cześć wyrazić symbolistycznie, to chyba wybornie nadawało się do tego miejsce, posiadające taką wymowną pamiątkę. To serce, chociaż martwe, niewątpliwie drgałoby swoimi prochami pod tonami, któreby dla niego brzmiały.

Hale targowe.

Na niejednej drodze podąża Warszawa w postępie za miastami zagranicznemi. Od kilku lat jest znacznie czystszą, lepiej zabudowaną, ma dobre wodociągi, kanalizacyę itd. Ale są pewne w niej braki, poprostu niegodne wielkiego miasta europejskiego i niewytłomaczone w swem zbyt długiem trwaniu. Do takich braków należała odkładana z roku na rok budowa hal targowych. Nie potrzeba brać za wzór do porównania Berlina lub Paryża, wystarczy mniejsza od Warszawy Praga czeska dla wykazania, jak dalece spóźniliśmy się z wprowadzeniem tego niezbędnego urządzenia. Tam wspaniały gmach z kamienia, szkła i żelaza, czysty, umiejętnie rozłożony, skupiający w sobie całą dostawę artykułów codziennego spożycia, u nas brudne kramy i stoły pod gołem niebem, w rozmaitych punktach miasta, na placach, które powinny służyć ku ozdobie, w zaułkach, cieniach i podwórzach, które są gniazdami wszelakich bakteryj. A przecież z nich ludność czerpie swą żywność!

Długoletni projekt założenia hal targowych na placu koszar Mirowskich nareszcie zbliżył się poważnie do urzeczywistnienia. Budowa została postanowiona, a kamień węgielny urzędownie założony. Mieszkańcy Warszawy, nieznający podobnych ognisk drobnego handlu za granicą, zrozumieją wtedy dopiero użyteczność hal, gdy je zobaczą.

Czego nam potrzeba?

Jeden z naszych panów wystąpił publicznie z propozycyą, ażebyśmy zakupili galeryę obrazów i muzeum Don Marcela Massarentego. Radę tę przyjęto w opinii tak, jak zasługiwała — milczeniem, bo właściwą ona byłaby tylko pod adresem panów, którzy mogliby ją spełnić bez trudu, a nie pod adresem ubogiego społeczeństwa, które ledwie podołać może najkonieczniejszym potrzebom i obowiązkom. Podobała się ona jednak komuś, kto po kilku miesiącach nietylko włożył nam ją powtórnie do serca, ale palnął kazanie Warszawie za to, że ona nie posiada ani galeryi, ani muzeum, żadnej instytucyi, któraby swymi zbiorami kształciła uczucia estetyczne, przechowywała zabytki i... ściągała cudzoziemców. Rzeczywiście tak jest; każde większe, a nawet znaczniejsze mniejsze miasto za granicą urąga niedbalstwu i ubóstwu „syreniego grodu," rzeczywiście u nas niema żadnego artystyczno-historycznego zbioru, dla którego warto byłoby zatrzymać się w przejeździe na kilka godzin. Wszystko to prawda—ale po co my mamy tworzyć jakieś nowe instytucye — galerye i muzea — kiedy je oddawna posiadamy? Wszakże istnieje w Warszawie Towarzystwo zachęty sztuk pięknych, które nawet buduje własny gmach; wszakże istnieje Muzeum przemysłu; wszakże istnieje stała Wystawa etnograficzna... Naczynia są gotowe, tylko, niestety, puste. My zatem nie potrzebujemy wyrabiać świeższych, lecz napełniać gotowe. My nie potrzebujemy wyjednywać odrębnych pozwoleń i zakupywać zbiorów Don Marcela Massarentego, ale postarać się o to, ażeby stowarzyszenia artystyczne nie paraliżowały swej działalności niedbalstwem, lekceważeniem i prywatą; ażeby nasi bogacze w interesie sztuki nie sięgali „radą" do biednych kieszeni ogółu, lecz otworzyli własne; ażeby przybytek muzy dostojnej wzruszał ich przynajmniej tyle, ile przybytek muzy podkasanej; ażeby społeczeństwo nie odwracało się obojętnie od swych galeryj i muzeów, ażeby wystawę etnograficzną zwiedzało więcej osób, niż jedna na tydzień; ażeby nasza prasa więcej zwracała uwagi na malarstwo, rzeźbę, sztukę stosowaną do przemysłu, zabytki archeologiczne, niż na sprawę Dreyfusa, wojnę w Transwalu, śluby zawierane w „towarzystwie" i „wściekłe ryby." Oto czego nam potrzeba, a jak to osiągniemy, będziemy mieli galerye, muzea i ciekawych cudzoziemców.

Filantropia a wyzysk.

Odbieramy następujące uwagi:

Kwestya bytu lekarzy zaczyna stawać się coraz częściej przedmiotem rozpraw w ich gronie. Świeżo w ostatnim numerze *Krytyki lekarskiej* poruszył ją dr. N. Zaznacza on, że ciężar czynności bezinteresownej zbyt wielkiem brzemieniem spoczywa na barkach lekarzy, że krzywdę wyrządza im społeczeństwo, zapatrując się na nich, jako na dobroczyńców z zawodu. Wyzyskuje ich Towarzystwo dobroczynności, któremu składają bardzo poważny datek pod postacią stałych wizyt w ochronkach i przytułkach; wyzyskują szpitale, gdzie zpośród legiona pracowników zaledwie kilku jest płatnych i to bajecznie nisko; wyzyskują wreszcie filantropowie burżuazyjni i arystokratyczni w zakładanych przez siebie instytucyach dobroczynnych. „Podobne żądania — mówi w końcu autor — ze wszech stron wygłaszane zarówno przez lekarzy młodszych, jak i starszych, bynajmniej nie są dowodem zaniku w nich uczucia ofiarności. Żaden lekarz nie uchyla się od udzielania pomocy swej bezinteresownie ubogim o każdej porze dnia i nocy i nadal niezawodnie od tego uchylać się nie będzie: „miser—res sacra." Lecz opieranie całych instytucyj na przymusowem pozbawianiu funkcyonaryuszów wynagrodzenia— już jest wyzyskiem, a co najmniej opieraniem instytucyi na bardzo chwiejnych podstawach."

Dowodzeniom tym oczywiście nikt chyba słuszności nie odmówi. Korzystanie przy sposobności z porad lekarskich jest zwyczajem powszechnym. Zapominając o nakładzie pracy, włożonym w studya zawodowe, ogół usprawiedliwia się powierzchownym sądem: „wszak to ich nic nie kosztuje." W podobnem położeniu wyzyskiwanych znajdują się literaci, artyści, werbowani na rauty, odczyty itd. Zachodzi tu jednak poważna różnica, na którą zwrócił uwagę i autor wzmiankowanego artykułu. Pozbawiając swych funkcyonaryuszów-lekarzy wynagrodzenia, instytucye opierają swój byt na bardzo chwiejnych podstawach, a co najważniejsza, nieopłacana pomoc lekarska, z konieczności niestała i niedostateczna, nieraz choremu może wyrządzić prawdziwą szkodę. Wiemy np. dobrze, jaką pomoc otrzymują owe tłumy, co to podczas dwu lub trzech godzin przewijają się przez ambulatorya szpitalne. O należytem zbadaniu ich natomiast nie może być mowy. Jedynie utworzenie pewnej ilości posad płatnych może zaradzić złemu. Towarzystwo kolonij letnich w początku istnienia swego, będąc ubogiem, korzystało z bezpłatnej porady lekarskiej. Porada ta udzielaną była doraźnie, niestale, na czem instytucya widocznie cierpiała. Dziś, kiedy fundusze Towarzystwa się wzmogły, posiada ono kilku lekarzy płatnych, a dzięki temu ma ich pomoc pewną i stałą. Kiedy przed dwoma laty hr. Przezdziecki ofiarował kilkanaście tysięcy rubli na rzecz mającego powstać „Pogotowia," w prasie podniosły się głosy, iż zakupiwszy sprzęty, można już powołać do życia pożądaną instytucyę, gdyż posiadamy tylu młodych lekarzy, „mających dużo wolnego czasu," a ci z pewnością zechcą ofiarować coś ze swej strony dla społeczeństwa. Ciekawi bylibyśmy widzieć, jak wyglądałaby ta poważna instytucya z taką opieką. Szczęściem młodzi lekarze zaczęli wołać, że ich znowu chcą wyzyskiwać, i dzięki temu w „Pogotowiu" istnieje około ośmiu posad płatnych po kilkaset rubli rocznie.

Medycyna, otoczona w zaraniu cywilizacyi nimbem tajemniczości, stawiała swoich kapłanów na szczególnych stanowiskach społecznych i ekonomicznych. Z biegiem wieków, opierając się na coraz szerszych podstawach naukowych, stała się umiejętnością i sztuką leczniczą, a wobec podobnego jej charakteru lekarze, jak zarówno i członkowie innych zawodów, musieli poddać się ekonomicznym prawom podaży i popytu. W naszych warunkach krajowych przed trzydziestu laty istotnie *Galenus opes dabat*, dziś takich wybrańców fortuny jest bardzo niewielu. Radzą lekarzom młodym wyjeżdżać za granicę. Wobec jednak braków wykształcenia uniwersyteckiego wogóle, a naszego w szczególności, młody lekarz, jeśli chce godnie odpowiadać wkładanym nań obowiązkom, powinien przez lat kilka pozostawać przy szpitalach i klinikach. Otrzymywanie pewnego wynagrodzenia za czynności, do których się już przygotował, ułatwi mu pogłębienie i ugruntowanie swego wykształcenia zawodowego. Dla tych przeto i dla innych powodów uważamy głos dr. N. z *Krytyki lekarskiej* za nadający się bardzo do szerszej dyskusyi. *K.*

Zawiązanie kasy.

Październikowe posiedzenie sekcyi rolnej przynosi fakt bardzo ważny do kroniki naszego życia ekonomicznego: Zawiązano kasę dla pracowników rolnych pod nazwą kasy dla ogrodników i pszczelarzy.

Nowa instytucya tem się różni od wszelkich innych, że ma na względzie nietylko udzielanie pożyczek, lecz także dopomaganie dzieciom pracowników rolnych do kształcenia się a nadto — pośredniczenie w wyszukiwaniu posad swym członkom. Organizatorowie kasy całkiem słusznie przypisują jej tak wielkie znaczenie, że nawet niezależnie od zwykłych obrad ziemiańskich, zwołali nadzwyczajne nazajutrz, na które zaproszono wszystkich obecnych członków sekcyi. Było ich w poniedziałek tylu, że się nie mogli w sali zmieścić. We wtorek zaś na posiedzenie specyalne w sprawie kasy przyszło tylko *czternastu*. Wymowny to dowód, jak szczerze większość naszych ziemian troszczy się o dobro swych oficyalistów. Ten rys charakterystyczny spostrzegliśmy dawno, od kiedy zaczęto w sekcyi rolnej poruszać sprawę zabezpieczenia bytu pracowników. Większość zawsze zawzięcie się broniła od nowych obowiązków utrzymując, że sami ziemianie mają niepewny grunt pod nogami, więc trudno im stwarzać „gracyalistów“ itd. Tylko mała garstka usilnie pracowała nad tą sprawą, nie podzielając zapatrywań większości, że jeden stan „przodujący“ jest całem społeczeństwem i że dobrobyt kraju zależy tylko od dobrobytu tej klasy.

BADANIA NAUKOWE.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Prace Ripleya. — Dwa odłamy Żydów, Sefardimowie i Askenazowie. — Czy istnieje pomiędzy nimi odrębność rasowa. — Studya antropologiczne nad Żydami. — Obfitość typu krótkogłowego. — Pomimo rozbieżności rasowej Żydzi przedstawiają jednolitość wyrazu twarzy. — Objaśnienie tego faktu.

Profesor socyologii na jednej ze wszechnic amerykańskich, W. Z. Ripley, ogłaszał w ciągu paru lat ostatnich w *Popular Science Monthly* bardzo ciekawe przyczynki do antropologii naszej części świata. Przedstawiają one pierwszą próbę uporządkowania materyału faktycznego, który nagromadzonym został w monografiach i wydawnictwach specyalnych. Praca ta, zaopatrzona w mnóstwo rysunków i mapek, posiada bardzo znaczną wartość naukową, jako dająca przewyborne pojęcie o tem, czego dokonano na polu odcyfrowania stosunków rasowych naszej Europy. Przyczynki te obecnie wyszły jako oddzielna odbitka. W toku drukowania dzieła parokrotnie zdawaliśmy sprawę z wygłoszonych w niem zapatrywań i poglądów. Nie będziemy więc do nich powracali. Natomiast zatrzymamy się nieco nad jednym z ostatnich przyczynków, dotyczących rasowego składu i pochodzenia ludności żydowskiej.

Tradycya odróżnia pomiędzy Żydami tegoczesnymi dwie grupy, Sefardimów i Askenazych. Pierwsi mają być potomkami dawnego pokolenia Judy, drudzy wyprowadzają swój rodowód od Benjamina. Sefardimowie rozproszyli się po Europie z Hiszpanii i Portugalii, zajmują Afrykę północną, stanowią jądro ludności starozakonnej w Turcyi i poniekąd Włoszech, wreszcie istnieją nieznaczne ich oazy w Londynie i w Amsterdamie, gdzie troskliwie ochraniają czystość krwi swojej, powstrzymując się od wszelkiego stosunku z Żydami Północy, Askenazami. Ci ostatni, stanowiący dziewięć dziesiątych całej liczby Żydów, przeważają na północo-wschodzie Europy.

Dawniejsi pisarze, dotykający przymiotów rasowych, właściwych obu tym wielkim działom Izraela, przedstawiają ich, jako grupy, różniące się nawzajem od siebie pod względem fizycznym. Typ Sefardimów, według ich zdania, odznacza się większą subtelnością budowy i czystszymi rysami semickimi. Wogóle jednak spostrzeżenia te opierały się raczej na dorywczem wrażeniu, aniżeli na dokładnych poszukiwaniach, wymaganych przez tegoczesną wiedzę. Zresztą i dzisiaj stan, w jakim znajdują się poszukiwania, dotyczące antropologii Żydów, pozostawia jeszcze dużo do życzenia. Ogół wszystkich przedstawicieli wyznania starozakonnego, wymierzonych i zbadanych w sposób naukowy, nie przewyższa półtrzecia tysięcy pomiarów — liczba nieznaczna, jeśli zważymy niezmierne rozproszenie Żydów na przestrzeni całej Europy i północnych dzielnic Afryki, oraz wynikające z takiego rozpowszechnienia domieszki i odchylenia. Właściwie tedy studya należy uważać dopiero za rozpoczęte. Dodajmy, że poszukiwania czterech autorów niemal wyczerpują połowę tych badań. Są to mianowicie poszukiwania dr. Talko-Hryncewicza, obejmują 713 osób, Jacobsa w Anglii, zawierające spostrzeżenia nad 363 Żydami angielskimi i wreszcie 316 opisów Majera i Kopernickiego, oraz 365 Elkinda w Warszawie. Jak więc widzimy, nasi rodacy dali poniekąd główne przyczynki do wiedzy o rasowej charakterystyce Żydów. Jeśli oddzielimy studya, ogarniające Cesarstwo i nasz kraj, oraz poszukiwania dotyczące Żydów angielskich, pozostanie ogółem zaledwie paręset spostrzeżeń dla reszty terytoryów, zamieszkałych przez potomków Izraela. Takie Włochy liczą wszystkiego niespełna 150 spostrzeżeń, z których większa część została dokonaną przez Lombrosa. W państwach półwyspu Bałkańskiego wymierzono zaledwie parę dziesiątków osób, Dehestan może poszczycić się 19 spostrzeżeniami. Ale na liście dokonanych pomiarów nadaremnie poszukiwalibyśmy nietylko Afryki północnej i Hiszpanii lub Portugalii, ale nawet Francyi i Niemiec. Materyał jest bądź co bądź bardzo niezupełny.

Przyjrzyjmy się wnioskom, jakie można wysnuć z powyżej wyłuszczonego zbioru pomiarów.

Jak zaznaczyliśmy, dawniejsi antropologowie przyjmowali, że pomiędzy Żydami z południa i północy Europy istnieją dość wydatne różnice w budowie fizycznej. Twierdzenie to dotyczyło przedewszystkiem kształtów czaszki. Mniemano, iż południowcy są podłużnogłowi, natomiast Żydzi, zamieszkujący w obrębie ludów słowiańskich, posiadają krótką budowę czaszki. Przypuszczenie to doznało o tyle potwierdzenia, iż pomiary dla Żydów konstantynopolitańskich dały istotnie rezultat zgodny z takiem twierdzeniem. Także studya Jacobsa w Anglii wykazały, iż wśród Sefardimów Albionu ilość procentowa długogłowców jest znaczniejsza, niż pomiędzy Askenazami. Przecież dalsze poszukiwania, przedsiębrane we Włoszech i na półwyspie Bałkańskim, okazały, iż pomiędzy dwoma odłamami tego narodu różnice nie są tak głębokie, jak wynikałoby to z dawniejszych twierdzeń. Dowiodły one, że żywioły krótkogłowe są nawet na południu bardzo liczne, choć nie tak jak na północy, serya zaś spostrzeżeń Denikera, dotycząca Żydów Dahestanu, wskazała istnienie krańcowej krótkogłowości, jak to widzimy w różnych okolicach Azyi przedniej (np. w Armenii). Zachodzi więc pytanie, który z tych typów winniśmy uważać za pierwotnie żydowski, tj. czy pierwiastki dolichocefaliczne, czy też brachycefaliczne stanowią żywioł, właściwy przodkom obecnych Żydów. Na to udziela odpowiedzi budowa czaszki wśród Arabów, którzy są niewątpliwie długogłowcami.

Należy więc przypuścić, że Żydzi pierwotnie posiadali takie kształty czaszki, lecz że w miarę swojej pielgrzymki pomiędzy innymi ludami wchłonili w siebie inne pierwiastki rasowe w takim stopniu, iż dzisiaj co do budowy głowy posiadają mniej krwi semickiej, niż wszelkiej innej.

Natomiast inne znamiona trzymają się uporczywiej. Jest to barwa włosów i kształt nosa. Co do pierwszej, semici zawsze należeli do brunetów, tak dalece, iż wyrazy, używane dla oznaczenia pojęć „czarny“ i „włosy“ brzmią u nich jednakowo albo znajdują się względem siebie w stosunku synonimów. Czarne włosy i dzisiaj przeważają wśród Żydów, chociaż na północy przebywanie wśród żywiołów blondynowych nie pozostało bez wpływu, stwarzając wśród przedstawicieli tego szczepu znaczny procent blondynów. Nawet domieszka Sefardimów w Anglii, którzy właśnie powinni wnosić czarne włosy, nie powstrzymała Żydów angielskich od posiadania w swojem łonie większej ilości procentowej pierwiastku blondynowego, niż ten, jaki jest właściwy ich współwyznawcom z lądu, co ostatecznie godzi się z faktem, iż Anglia odznacza się większą liczebnością blondynów, niż narody Europy środkowej, i świadczy o oddziaływaniu otoczenia rasowego, w którem Żydom wypadło przebywać, na ich skład i charakterystykę fizyczną. Tak samo kształty nosa posiadają pewną osobliwą formę. Ale i tutaj antropologia, dokładniej badając przedmiot i ściślej wypowiadając to, co dość niewyraźnie zaznacza luźne wrażenie, wykazała, iż różnice nie są tak znaczne. Ripley między innemi powołuje się na poszukiwania Majera i Kopernickiego, którzy dowiedli dla Galicyi, iż na Żydów galicyjskich przypada zaledwie 9% tego rodzaju nosów, niewiele więcej, niż między ludnością rdzenną. Natomiast badacz amerykański zwraca uwagę na pewne właściwości w budowie oczów. Brew, dzięki swojej ciemności, wydaje się większą niż rzeczywiście, co nadaje wyrazowi twarzy osobliwy odcień. Zresztą są to właściwości poddające się trudno dokładnej analizie, której dotychczas zgoła niema jeszcze, spostrzeżenie zaś pospolite rzadko daje należyty obraz. To też pojedyncze wzmianki o tym przedmiocie odznaczają się niezmierną dozą podmiotowości. Ale bądź co bądź całość rysów, właściwych Żydom, jest tak charakterystyczną, iż niewielkiej trzeba wprawy, ażeby odróżnić fizyognomię żydowską od nieżydowskiej.

Z jednej więc strony nie ulega wątpliwości, iż Żydzi pod względem fizycznym stanowią zbiór paru typów, rożnego pochodzenia, z drugiej zaś posiadają wyraz twarzy, tylko sobie właściwy.

Jak rozwiązać tę pozorną sprzeczność?

Ripley odpowiada na to teoryą doboru, polegającą na półświadomem popieraniu pewnych rysów, rzucających się odrazu w oczy. W grupie żydowskiej utrwaliło się pojęcie pewnego piękna fizycznego, zawierające w sobie rysy najczęściej zdarzające się w szczepie. Powstało w ten sposób wyobrażenie o pewnej indywidualności narodowej, które wpływało na postępki pojedynczych jego członków, gdy chodziło o stosunki pomiędzy mężczyznami a kobietą. Naturalnie, dobór ów dotyczył tych rysów, które są widoczne dla oka i których ogół stanowi w swojej całości właśnie ową fizyonomię rasową. Natomiast takie rzeczy, jak kształty czaszki, niepodlegające widocznemu spostrzeżeniu, pozostawały w pierwotnej czystości. Szczep objął w swoje posiadanie etniczne przymioty twarzy i ujednostajniał je w sposób wskazany. Inne rysy zachowały właściwy sobie charakter rasowy.

Ripley kończy swój przyczynek w sposób następujący:

„Nasze ostateczne twierdzenie jest nieco paradoksalne. Żydzi nie stanowią rasy,

lecz tylko grupę etniczną. W ich twarzy czytamy potwierdzenie tej tezy. Indywidualność — posiadają zaś ją w znacznym stopniu — jest ich własnem dziełem, dokonywanem od pokolenia do pokolenia, nie zaś rzekomej czystości ich pochodzenia."

L. K.



LITERATURA POLSKA.

Kazimierz Gliński: *Z życia i fantazyi*, str. 382. — Władysław Jabłonowski: *W zatoce śmierci*, nowele, str. 160. Warszawa, 1899.

Mówiąc na tem miejscu niedawno o ostatnich powieściach Kazimierza Glińskiego, mieliśmy sposobność zauważyć, że autor „Klęski" i „Losów" w utworach swoich, prozą pisanych, nie umie, czy nie chce liczyć się z rzeczywistością i nie uwzględnia nowszych postępów techniki beletrystycznej. Świeżo wydany tom jego szkiców i nowel, p. t. „Z życia i fantazyi," nie daje nam powodu do zmiany powyższego poglądu.

W dziesiątku opowiadań, które się na tę książkę złożyły, są, naturalnie, rzeczy słabsze i lepsze, mniej i bardziej zajmujące. Obok obliczonych na niezbyt wybrednych czytelników humoresek o grubych dosyć a mało prawdopodobnych efektach, w rodzaju owych bastonad, któremi się częstują wzajemnie państwo podsędkostwo Pawłowscy z pod Berdyczowa, w „Historyi prawdziwej o panu podsędku Pawłowskim i małżonce onegoż"; obok melodramatycznych a znanych już tak dobrze dziejów lichwiarza, wydzierającego ostatni grosz wdowom i sierotom, w celu zgromadzenia milionowej fortuny „dla dziecka," mamy w tym zbiorze i ładną, na pesymistyczną nutę nastrojoną fantazyę, p. t. „Noc upiorów," oraz dłuższy, niepozbawiony barw poetyckich i jakiegoś pociągającego rozmachu obrazek p. t. „Dymitr Sokolicz."

Lecz w książce całej niema ani jednego urywka, związanego ściślej z wartką falą chwili obecnej, z jej bólami i radościami, z jej szarpiącemi nerwy i mózg zagadnieniami bez rozwiązania i odpowiedzi. Tajemniczy sfinks teraźniejszości nie istnieje dla autora, zapatrzonego gdzieś w zaświaty okiem niepoprawnego marzyciela, lub bujającego po obłokach na odwiecznych skrzydłach romantyzmu.

Jako powieściopisarz i nowelista, Gliński z ogranych oddawna motywów tworzy najchętniej melodramaty, nie chcąc widzieć rzeczywistych tragedyj, rozgrywających się przed jego oczyma. Czasem wpada w krańcowość przeciwną i śmieje się z naiwnością dziecka z zabawnej anegdoty lub dykteryjki, która mu się przypomni z przeszłości; ubarwia wówczas stary temat po swojemu i próbuje, nie zawsze z powodzeniem, podzielić się z czytelnikami tym chwilowym wybuchem dobrego humoru i wesołości, rzadko przytem umiejąc uniknąć szarży, przesady, nieprawdopodobieństwa. Nie zna i nie odczuwa chwili obecnej, nie umie pod jej szarą powłoką dopatrzeć się żywszego falowania krwi, dosłuchać . głośniejszych serca uderzeń i gotów narzekać z bohaterem jednej z nowel swoich, że „zmieniły się dzisiaj serca ludzi i namiętności przygasły, ochłodły usta i pocałunki nie palą..."

„Wspaniałe kawalkady Medyceuszów wybuchą w przystępie rozdrażnienia jego Dymitr Sokolicz — ustąpiły dziś miejsca nagiemu baletowi: dzwon sycylijskich nieszporów z leniwego nas snu nie obudzi. Dobrze nam jest, wygodnie w łożach usłanych miękko. Gorąca krew ostygła, chłodna rozgrzała się i mamy wspaniałe morze ciepłej wody. Usunęły się więc góry ku dolinom, doliny ku górom się podniosły i stała się bardzo przyjemna równinka, na której, zamiast mastodontów, gryząc żytnie ziarenka, skaczą susły!"

Mimowoli przypominają się płomienne wybuchy innego, spóźnionego już również romantyka, który, stojąc na przełomie dwóch epok, wołał z goryczą przed trzydziestu blizko laty: „Karłowacieją myśli, gasną serc wulkany; dzieje już nie brzmią hymnem wiary archanielskim: wiek rozumu, jak tabor ciurów rozpasany, opycha brzuch podbitej materyi cielskiem. Jak krzyże mogił kmiecych na cmentarzu sielskim. wali się posągowy piękna świat—oplwany pogardą ciżb, dla których każdy kwiat jest zielskiem, a laur wydaje plon żołędzi pożądany."

Lecz wszelkiego rodzaju uogólnienie bywa w takich razach niebezpiecznem; czasem nawet uważać je można za jeden z objawów szczególnego jakiegoś daltonizmu, dającego się zresztą wytłomaczyć temi paru słowy, któremi sam Gliński charakteryzuje tak dobrze swego Sokolicza: „Miał ogniste marzenia, żył długo wspomnieniami romantycznej epoki..."

Na przeciwległym biegunie twórczości beletrystycznej stanął znany krytyk i publicysta, Władysław Jabłonowski, w swym świeżo wydanym zbiorze nowel p. t. „W zatoce śmierci." Gliński jest romantykiem, Jabłonowski—nawskroś modernistą, Gliński w nowelach swoich obchodzi się niemal bez psychologii, Jabłonowski daje czytelnikowi wyniki drobnowidzowych spostrzeżeń nad nieznanymi zakątkami duszy ludzkiej, usiłując uchwycić pewne przelotne jej drgnienia, które dotąd uchodziły zazwyczaj naszej uwagi. Rezultat jednak u obu bywa niekiedy podobny: jednemu i drugiemu wierzyć musimy na słowo, nie mając odpowiedniego kryteryum do sprawdzenia trafności ich obserwacyi.

Gdy Gliński maluje przed oczyma naszemi nadzwyczajne przygody pana podsędka, zmuszonego do ukrywania się pod łóżkiem lub w gołębniku przed dotkliwymi argumentami małżonki, czytelnik mimowoli wzrusza ramionami: „Może być, że autor widział gdzieś to wszystko, niemniej jednak ja to... między bajki włożę." Ale podobna myśl nasuwa się również czasem przy czytaniu takich studyów i fragmentów psychopatycznych Jabłonowskiego, jak „Tamten" lub „Spadek po przyjacielu." Co to właściwie być może? Symbol, nie symbol, rzeczywistość, nie rzeczywistość, ironia, nie ironia; może poprostu zagadka, a może wydęcie drobnej kulki, tkwiącej, niby główka od szpilki, w jakimś nieznanym fałdzie naszej duszy, do rozmiarów wielkiego balonu, napełnionego gazem bujnej wyobraźni i unoszącego nas gdzieś w świat nieznany.

Poszukiwanie dróg nowych jest pożądanem i godnem uznania we wszystkich dziedzinach twórczości, nie mamy nic a nic przeciwko odtwarzaniu w beletrystyce najbardziej skomplikowanych nastrojów, wolelibyśmy jednak, aby literatura nasza nie wkraczała w dziedzinę psychiatryi, gdzie ostatecznie zawsze czytelnik jest oddany w zupełności na łaskę i niełaskę autora, wymykającego mu się z natury rzeczy z pod kontroli wszelkiej.

Jest to ostatecznie rzecz gustu. Co do nas jednak, to zaznaczyć musimy, że w niewielkiej książce p. Jabłonowskiego stawiamy najwyżej króciutki, nastrojowy również obrazek p. t. „Spotkanie." Jest on o wiele naturalniejszy od dwóch wymienionych poprzednio i zrozumiały zupełnie dla tych przynajmniej, którzy, jak bohater tego utworu, miewali, mówiąc słowami autora, chwile pragnienia mroku, ciężkiej, niezgłębionej dla oka ciemności, w której możnaby zanurzyć się, jak nurek w głębiach morskich; dla tych wszystkich, którzy choć raz w życiu pragnęli zlać się z ciemnością ową w jedną nierozdzielną masę, nie widzieć siebie samego i swego smutku, zagradzającego wciąż drogę, jak potworny karzeł, i budzącego odrazę do życia...

W opowiadaniu p. t. „W zatoce śmierci," od którego zbiorek cały otrzymał nazwę, autor nie uniknął pewnej rozwlekłości i nie zdołał wzbudzić żywszego zajęcia dla losów dwojga bohaterów tej egzotycznej noweli. Odrębną całość w książce stanowi „Zima za Uralem," zajmujący i barwnie napisany list z podróży dalekiej.

Władysław Bukowiński.

MALARSTWO.

Wystawa Koła artystek polskich.

Imiona niewieście w dziejach sztuki polskiej nie zapisały się prawie zgoła niestartemi głoskami, na które składa się tylko wielki talent i wielka indywidualność. Na tem niebie żadna z artystek nie rozpaliła promiennego niegasnącego słońca natchnień: zaledwie niektóre z nich zabłysły jako gwiazdki drobne, które czas pokrywa dość szybko mgłą zapomnienia. Nie znaczy to bynajmniej, że nam artystek, malarek zwłaszcza, brakło. przeciwnie: „Słownik malarzów polskich" Rastawieckiego cytuje około dwudziestu pięciu Polek lub czasowo w Polsce zamieszkałych. Kobiety zabrały się do pędzla nawet dość wcześnie. „Akta radzieckie" miasta Krakowa (według Rastawieckiego) wspominają już pod r. 1538 o malarce Dorocie Baczkowskiej, nie podając zresztą żadnych bliższych o niej szczegółów. Od tego czasu do początków bieżącego stulecia ciągnie się sznur nazwisk, z których większość, niestety, i to najsławniejszych nie nam świeciła. Z obcych rąk, bo w Niemczech lub Francyi brały skromne listki wawrzynu: Justyna Ayrer, miniaturzystka z początku XVIII w., ciotka słynnego Daniela Chodowieckiego, na którego pono dość znaczny wpływ wywarła, Zofia czy też Zuzanna Chodowiecka (z męża Henry), córka poprzedniego, członek berlińskiej akademii sztuk pięknych, autorka obrazów wielce oryginalnej treści: „Dobre i złe wychowanie córek." „Skutki szczęśliwego i nieszczęśliwego małżeństwa," „Różność sposobu życia żonatego i bezżennego mężczyzny" i in. tym podobne, którymi zasłużyła sobie na wdzięczną pamięć... kobiet, i z których wiele zakupionych zostało do zbiorów królowskich; cztery Liszewskie, z których jedna doczekała się zaszczytu oglądania pracy swojej już nie w niemieckich muzeach prywatnych, lecz na ścianach Luwru paryskiego (mężczyzna oświetlony świecą woskową i trzymający w ręce kieliszek), i cały szereg innych, o których dawno już zapomniano. Podczas gdy nasze artystki tułały się za granicą, wiele cudzoziemek przybywało do Polski, tu osiadały chwilowo dla wykonania obstalunków, jak np. słynna M-me Vigée-Lebrun, lub też pozostawały nazawsze, jak Beyerowa (ur. Minter, w pierwszej połowie bież. stulecia), malarka owoców i kwiatów, nieraz złotymi medalami nagradzanych, i założycielka pierwszej bodaj u nas szkoły malarskiej dla kobiet.

Jerzy Mycielski w swoich „Stu latach dziejów malarstwa w Polsce (1760—1860)" już niewiele do historyi kobiet w sztuce naszej dodaje: wspomina o jednej tylko jeszcze Maryi Butowt - Andrzejkowiczówne, której obraz „Kardynał Jan de Me-

dici i Pomponius Laetus wśród ruin Rzymu" znajdował się na wystawie lwowskiej. Nie mówi on jeszcze nic o najmłodszem pokoleniu artystek polskich, nie wspomina zupełnie o Dukszyńskiej, Dulębiance, Boznańskiej, ani nawet o nieodżałowanej Bilińskiej, o tym najpiękniejszym z kwiatów, jaki sztuka śród niewiast polskich dotąd wyhodować umiała, o tej, której spuścizna do skarbu naszego weszła, jako jedyna chyba cząstka trwała przez ręce niewieście złożona. Czy śród malarek polskich jest teraz choć jedna, która wyżej nad nią stanie, lub przynajmniej miejsce po niej zająć potrafi? Pierwsza wystawa Koła artystek polskich na pytanie to tymczasem odpowiedzi twierdzącej nie daje.

Po otwarciu jej dały się słyszeć głosy, że czyni ona wrażenie smutne, dzięki zupełnemu brakowi dzieł wartości głębszej. Głosy te nie wydają się słuszne. Przeciwnie, gdy porównamy ogół prac artystek, znajdujących się obecnie w Salonie Krywulta, z całym tłumem obrazów, wystawianych w czasach ostatnich, to porównanie takie nie zupełnie na niekorzyść artystek wypadnie. Prawda, większość ich prac to roboty uczniowskie, ledwie kiełkujące ziarna, lecz niejedno z tych ziaren kłos pełny i zdrowy zapowiada.

Z powag uznanych płótna swe wystawiły: Olga Boznańska, Zofia Stankiewiczówna i Marya Dulębianka. Dziwne wrażenie czynią obrazy pierwszej z nich; nie były one dotąd u nas okazywane, a zdaje się, jak gdybyśmy je oddawna już znali i nieraz widzieli. Bo każde nowe płótno Boznańskiej powtarza aż do znudzenia to samo, co już artystka ta w pracach dawniejszych wypowiedziała: żadne z nich nic nowego ze sobą nie przynosi, żadne nie dodaje ani jednej cechy, ani jednego nowego rysu do jej dorobku artystycznego. Talent Boznańskiej niewątpliwy, prawdziwy, zdradzający się pewnym doskonałym rysunkiem, śmiałością i jakimś niekobiecym rozmachem w traktowaniu rzeczy, przyszedł na świat z zarodkiem śmierci, ze skłonnością do uwiądu, i zestarzał się, nim jeszcze doszedł do kresu rozwoju młodzieńczego. Te błędy, które miała na początku swej karyery artystycznej, a mianowicie przykra szarość i monotonia kolorytu, nie znikły dotąd, lecz przeciwnie spotężniały i przyrosły do jej sposobu malowania tak silnie, że stworzyły wprost manierę. Jej „Cyganka," „Dziewczyna z kwiatem," „Włosi", „Zamyślona," „Dziewczynka," ba nawet i „Pies" są niemal jednakowo szare, mętne i brudne w kolorze. Ani jednego jędrnego, pełnego, świeżego tonu, ani jednego promienia, coby tę przeraźliwą monotonię kolorów ożywił, odświeżył, wzrok widza uderzył, zaniepokoił, poruszył. Tem więcej talent jej podziwiać należy, że pomimo to maluje rzeczy tak nietuzinkowe, tak bardzo żywe i pełne wyrazu, jak „Pies," „Włosi" i „Zamyślona" (ta ostatnia zresztą ma bardzo niedokładnie namalowaną i płaską rękę).

O ile twórczość Boznańskiej charakteryzuje jakaś do monotonii posunięta równość, o tyle znów rozmaitą, jeśli tak powiedzieć można, w pracach swych jest Stankiewiczówna. Wprost trudno wymienić dwie jej rzeczy, które byłyby do siebie zbliżone, podobne, sobie pokrewne. Gra tu prawdopodobnie rolę znaczna wrażliwość artystki, podatność na wpływ obcy, wpływ indywidualności może nie zawsze potężniejszej, lecz w każdym razie — innej. Chełmoński, Rapacki, a bodaj nawet i Nałęcz bez wątpienia oddziałali na jej twórczość. Wystawione obecnie „Ziemia," „Po burzy," „Pług," i dwa szkice pejzażowe nie wyglądają na dzieci tego samego rodzica. Zaledwie „Ziemia" i „Pług" zdradzają nieco pokrewieństwo. Żadna z prac tych nie należy do najlepszych płócien Stankiewiczówny. Jedynie „Pług" bardzo nastrojowy, pełen głębszego sentymentu, prześliczny w tonie świeżo zoranej ziemi, sinawej, otulającej się w mgły nadchodzącego wieczora, czy też pierwszego brzasku zorzy rannej, byłby rzeczywiście ozdobą wystawy, gdyby go nie psuło zupełnie marne, oleodrukowo szablonowe niebo z okropnym księżycem owiniętym w dwa kawałki żółtawo-różowej waty, wyobrażającej obłoczki. I dziwna rzecz, niebo pięta achillesowa wszystkich niemal prac Stankiewiczówny, jest ono na wszystkich jednakowo słabe, czy świeci czystością lazuru, czy się odziewa w płachty brudnych chmur („Po burzy").

Z dwóch drobiazgów, wystawionych przez Dulębiankę, śliczny jest jeden „Gromnice." Śród dwu zapalonych świec nieco w górze słodka wzniesiona głowa, a w oczach wielkie łzy, gorejące, jasne, smutne gromnice...

Za tą trójcą wielkości uznanych skupia się rój przeważnie zupełnie młodych, świeżych artystek, probujących zaledwie swych sił i lotów. Są między niemi takie, o których nic jeszcze powiedzieć nie można, bo prace ich za bardzo czuć murami szkoły, są i takie, które nie powinny zupełnie malować, a przynajmniej prac swych wystawiać, jak np. Jadwiga Boguska, autorka wprost potwornego portretu dwu dam, lecz są i takie, których talent przebija się po przez nieudolną nieraz formę i lękliwie, nieumiejętnie kładzioną powłokę farb.

Taki niewątpliwy talent zdradzają prace Anieli Biernackiej. Są one bardzo różnorodne i wskazują, że artystka nie znalazła jeszcze drogi, którą pójść powinna. Przerzuca się od malarstwa religijnego, przedstawiającego dziwną mieszaninę realizmu i szablonowo-idealnych twarzy, oraz wywróconych oczu, podlaną surogatem barw i póz a la Murillo, („Św. Antoni," „Św. Zita") do modernizmu z aparatem mistycznych głów i mistycznych kwiatów („Irysy"), a po drodze zatrzymuje się przy temacie, z życia wziętym, i tworzy „Jesienią," jedną z najlepszych rzeczy na wystawie. Może ten ksiądz, siedzący na ławce kamiennej, jest trochę fałszywy w kolorze i oświetleniu, bo malowany był w pracowni, nie na powietrzu, lecz natomiast ma dużo życia i wyrazu w twarzy, dużo prawdy w rysunku, a ogród jest rzeczywiście pełen świateł i powietrza. A przytem w całym obrazie jest tyle cichego sentymentu, takie harmonijne zlanie się jesieni w przyrodzie z jesienią życia ludzkiego, że dłużej i chętniej zatrzymują się na nim oczy. Biernacka — to materyał na artystkę prawdziwą i szczerą; trochę tylko więcej techniki, więcej miękkości w dotknięciu, więcej subtelności w traktowaniu, a mogą z pod ręki jej wyjść rzeczy wartości niepoślednej.

Dużo grozy, pomimo błędów oświetlenia szczególniej pierwszych planów, tkwi w obrazie Leony Biorkowskiej „Na pomoc"; ten zagrzebany w zamieci śnieżnej pociąg rzeczywiście zda się wołać o pomoc.

Ciekawe są prace Maryi Czajkowskiej, wyłącznie niemal słońcu poświęcone. Na pracach tych, pod względem technicznym jeszcze zupełnie wadliwych, rzeczywiście świeci słońce bardzo żywe i prawdziwe, wydobyte przy pomocy środków najprostszych, pozbawionych zupełnie taniego efekciarstwa, a więc znamionujących rzeczywisty talent.

Do lepszych rzeczy zaliczyć również trzeba bardzo żywe studyum Sylwii Rośsky („Pasterz bretoński") i „Portret" (pastel) Maryi Gersonówny dobry w kolorze, lecz o fałszywym rysunku, zwłaszcza ust, co dziwnem jest ze względu na rzeźbiarskie zdolności autorki.

Na wystawie kobiecej nie obejdzie się bez kwiatów, z których najlepsze są doskonale akwarelą malowane astry, róże, tulipany itd. Anny Paszkiewiczówny.

Rzeźba jedyną ma przedstawicielkę w Gersonównie, która dała „Melancholię" w postaci siedzącej młodej kobiety w stroju średniowiecznym, niezłą głowę mężczyzny i medaliony Chopina.

A na zakończenie jedno wrażenie ogólne. Śród stu dwudziestu nagromadzonych płócien ani jedno nie uderza nowością treści i tematu, z wyjątkiem może „Gromnic" Dulębianki, ani jedno nie zdradza bujnej fantazyi, nieliczącej się ani z rozmiarami płótna, ani z masą tłumu ludzi, zwierząt, akcesoryów, ani jedno nie porywa głębszą, prawdziwą poezyą i szczerem natchnieniem. Czyżby doprawdy fantazya niewieścia starczyła tylko dla sztuki stosowanej... dla mód i strojów?...

A Bilińska, Baszkircewa, Angelika Kauffman, Vigée-Lebrun? Gdzież ich tradycye?..

Michał Mutermilch.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

POWIEŚCI. M. Komornicka: „Baśnie—psalmodye" (74 str.). Fiszer.

— W. Gomulicki: „Wybór nowel." Dodat. do *Gaz. pols.*

— E. Maliszewski: „Z życia." Dod. do *Gaz. pols.*

DRAMATY. J. Kisielewski: „W sieci," dramat w 5 aktach (604 str.). Kraków, Gebethner.

POEZYE. J. Machar: „Magdalena," przeł. Adam M—ski (255 str.). *Głos.*

— Ada Negri: „Pieśni niedoli — Burze," tłom Gabor (166 str.).

— K. Laskowski. „Wiersze" (32 str.). Dodatek do *Ogn. rodz.*

KRYTYKA. E. Przewóski: „Krytyka literacka we Francyi," t. I (188 str.—60 kop.). Lwów, Altenberg.

FILOZOFIA. O. Kulpe: „O zadaniach i kierunkach filozofii," tłom. pod redak. A. Twardowskiego, dwa tomy (121 i 194 str., cena 1 rb. 20 kop.). Lwów, Altenberg.

— W. Biegański: „Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej" (91 str.). Wende.

PEDAGOGIKA. Aniela Szyc: „Rozwój pojęciowy dziecka w okresie lat 6—12" (192 str. — 75 kop.). Wende.

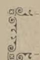
— G. Doliński: „Jak u nas chowano dzieci—zarys dziejów pedagogii polskiej." *Bibl. dzieł wyb.*

PRAWO. J. Litauer i J. Lange: „Kodeks przemysłowca," tekst rosyjski i polski (519 str.).

FIZYOLOGIA. Dr. E. Flatau. „Układ oczowy w świetle najnowszych badań" (27 str.). Wende.

ILUSTRACYE. „Monografia ilustrowana kościołów rzymsko-katolickich w Królestwie Polsk.," z. 3.

HUMORYSTYKA. L. Ćwierciakiewicz: „Listy humorystyczne w kwestyi kulinarnej," tłom. z francuskiego (194 str.).



POEZYE

Hymn żałobny.

A dokąd idą umarli —
Nasi umarli?

Czy srebrnobłękitna Cisza
Czeka dziwnego przybysza
Na jakiejś nieskończonej rozemglonej łące
Pod cieniem wiekuistych symbolicznych drzew?
I czy się tam kołyszą senne i mdlejące
Bladawozłote dziewanny
W rytm wolny i nieustanny,
A z ust bezkrwistych płynie śpiew,
Żałobny śpiew?

Dokąd odchodzą umarli —
Nasi umarli?

Czy jest jakie zielone Jezioro Pamięci —
Długie, głębokie i szklane —
Myśli, jak ptaki obłąkane,
Kiedy niemi wir zakręci,
Padają w głębię Jeziora.
I całe Dziś, całe Wczora,

Całe Jutro, cały Nieskończoności wiek
Uderza o zielony brzeg,
A potem głębia go chłonie...
O, mistyczne, milczące, niezmierzone tonie!...

Dokąd odchodzą umarli —
Nasi umarli?

I czy jest mrok upragniony,
Pragniony, pożądany, śniony Nocy mrok?
Nocą przez puste zagony,
Przez szare ugory cmentarzy
Chodzi Tęsknota. Jej wzrok
Ogniem się pali i żarzy,
Wpija się w serce coraz głębiej, dalej,
Jak ogień, pali,
Jak ogień.

Dokąd odchodzą umarli —
Nasi umarli?

I czy tam o północy rozbrzmiewa i dzwoni
Ogród śmiertelnej Ironii?
W piasku i w pyle
Nurza wiatr kwiatów złamane badyle
I szumi, szumi, szumi.
Szumi wiatr wiekuiście,
Kłębami wzdyma poschłe liście
I żółte kępy igliwia.
Umarli patrzą—każdy oddech w piersi tłumi —
I dziwny uśmiech słodkie twarze im wykrzywia.

Dokąd odchodzą umarli —
Nasi umarli?

Władysław Sterling.

W DALI.

Wilno. *Birż. Wied.* zamieściły ciekawą korespondencyę w sprawie szkolnictwa w guberniach północno-zachodnich. Niektóre uwagi korespondenta zasługują na zaznaczenie: „Ci, których obchodzi sprawa oświaty ludowej, pokładają wielkie nadzieje w nowomianowanym kuratorze okręgu wileńskiego, p. Popowie. Jego poprzednik na tem polu, obecnie senator, p. Siergiejewskij, zwracał uwagę tylko na podtrzymanie klasycyzmu w gimnazyach i pozostawił swemu następcy obszerne pole do działania. Byłoby do życzenia, aby nasze nadzieje nie pozostały, jak się to często zdarza, tylko nadziejami. W związku z kwestyą oświaty ludowej stoi druga ważna dla nas sprawa otwarcia wyższego zakładu naukowego w Wilnie na miejsce dawniej istniejącego, później zniesionego uniwersytetu wileńskiego. Obawy, że wyższy zakład naukowy w Wilnie może stać się źródłem niepożądanej agitacyi, nie zasługują na najmniejszą uwagę. Obawy tego rodzaju wstrzymywały przez dłuższy czas założenie uniwersytetu w Omsku i wstrzymują jeszcze dotychczas otworzenie wyższego zakładu naukowego w Tyflisie. *Pium desiderium* kraju Północno-Zachodniego stanowi, o ile nam wiadomo, założenie w Wilnie wyższej szkoły rolniczej, której potrzeba nadzwyczaj żywo uczuwać się daje. Jednostronność kultury rolnej w naszym kraju pociąga za sobą skutki bardzo niepożądane. Skutkami tymi są: z jednej strony częsty nieurodzaj przy niepomyślnych warunkach atmosferycznych, z drugiej zaś — gwałtowny spadek cen zboża, o ile urodzaj w kraju jest średni. Uprawa roślin pastewnych, hodowla bydła, koni i trzody chlewnej są zaledwo w kolebce, dzięki rutynie, jaka dotychczas panuje w rolnictwie. Tegoroczna wystawa rolnicza w Wilnie dowiodła jak na dłoni potrzeby, a nawet konieczności założenia wyższej szkoły rolniczej w Wilnie. Ale starania w tym zakresie, o ile będą podjęte przez społeczeństwo miejscowe, mogą się spotkać z odmową. Inicyatywa w tej sprawie powinna wyjść od administracyi centralnej, w danym wypadku — od ministeryum rolnictwa, które powinno zwrócić uwagę na stan rolnictwa w kraju Zachodnim." — Szkoła chemiczno - techniczna w Wilnie — pisze korespondent *Gaz. Pols.* — po 10 latach pozostawania w dziedzinie projektów, stanie się nareszcie faktem. Już się organizuje komisya do budowy odpowiedniego gmachu. Rząd przeznacza na rzecz szkoły: w r. 1900—7,795 rb., w 1901—17,252 rb., w 1902—21,704 rb., w 1903—23,605, w 1904—24,897 rb. Ta ostatnia suma wydawana też będzie stale w latach następnych. Na budowę i zaopatrzenie szkoły w potrzebny inwentarz miasto przeznaczyło 100,000 rb., kilkadziesiąt tysięcy zaś zebrano drogą składek od okolicznych ziemian. Niezależnie od tych sum, rząd na ten cel przeznacza jeszcze jednorazowo 75,000 rb. które wzięte będą z sumy przeznaczonej w r. 1900 na budowę i naprawę gmachów szkolnych w państwie, a która wynosi 2,500,000 rb. Kwestya materyalna szkoły jest więc już rozstrzygnięta. Nie będzie to wprawdzie wyższy zakład naukowy, jakiego się spodziewano, ale i średni bardzo jest potrzebny. Otwarcie zatem nowej szkoły jest faktem wielkiej wagi.

Witebsk. Pisma podały następującą bardzo charakterystyczną sprawę: Wydział kryminalny sądu okręgowego w Witebsku rozpatrywał ciekawą sprawę mieszkańca wsi Zydniki, Adama Matusewicza, oskarżonego o zbiegostwo z Syberyi. Ma on, jak sam objaśnił, przeszło sto lat, gdyż podczas kampanii 1812 był już sporym chłopakiem i nie bał się Francuzów. W r. 1865 w gminie lanckorońskiej, pow. Lucyńskim, wybuchły zaburzenia wśród włościan miejscowych; żądali oni obniżenia sumy wykupnej za nadaną im ziemię, a Matusewicz był jednym z głównych podżegaczy w tej sprawie, za co został skazany na śmierć przez powieszenie. Gubernator wileński zamienił karę śmierci na wysłanie do robót ciężkich na lat sześć. W drodze jednak udało się Matusewiczowi zamienić swoje dowody legitymacyjne z innym więźniem, niejakim Wiczkowskim, który w krótkim czasie zmarł i został pochowany pod nazwiskiem Matusewicza. Sam zaś Matusewicz pod nazwiskiem Wiczkowskiego przeszedł granicę rosyjską i udał się do Austryi, skąd wrócił w r. 1897 po trzydziestu latach nieobecności do swej wioski rodzinnej i dobrowolnie przyznał się do winy. Sąd okręgowy skazał go za zbiegostwo z Syberyi na przedłużenie terminu ciężkich robót i na dziesięć plag; z powodu jednak łagodzących okoliczności (wiek podeszły, stan, dobrowolne przyznanie się do winy i znaczny przeciąg czasu pomiędzy spełnieniem przestępstwa a jego wykryciem) postanowił wyrok niniejszy, po uprawomocnieniu się, przedstawić przez ministra sprawiedliwości do Najwyższego uznania i prosić o ułaskawienie podsądnego.

Dopełnienie. W spisie utworów nadesłanych na konkurs opuszczono: nr. 101 „Noc Świętojańska."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę kasy zaliczkowo-oszczędnościowej urzędników rady miejskiej dobroczynności publicznej w Warszawie tudzież urzędników zakładów dobroczynnych, należących do tej rady.

— P. oberpolicmajster m. Warszawy podjął starania, ażeby strażacy za służbę nieskazitelną mogli otrzymywać dodatki do pensyi i emeryturę, przechodzącą na wdowy po nich. Przytem w razie kalectwa powinien być skrócony termin służby.

— W Petersburgu powstaje Towarzystwo numizmatyczne.

— Zamieszkali w Petersburgu Słowianie południowi, Macedończycy i Bułgarzy, wybierają się jako ochotnicy do Transwalu, celem wzięcia udziału w walce przeciwko Anglikom.

— Towarzystwo farmaceutyczne w Petersburgu stworzyło delegacyę celem opracowania projektu zmniejszenia godzin pracy farmaceutów w aptekach.

— Z powodu ujawnionych w wielu urzędach mieszczańskich nieprawidłowości i nadużyć, ministeryum spraw wewnętrznych poruszyło kwestyę opracowania instrukcyi dla czynności wewnętrznych w tych urzędach i kontroli prowadzonej przez miejscowe zarządy gubernialne. Sprawa ta dotyczy miasteczek w guberniach północno-zachodnich.

Szkoły. Na kursy farmaceutyczne uniwersytetu charkowskiego zapisało się w r. b. 116 Żydów, z których przyjęto tylko czterech.

— Z powodu ostatniego okólnika ministra oświaty, który między innemi porusza sprawę rozwoju fizycznego młodzieży szkolnej, *Warsz. Dn.* zwraca uwagę na niehygieniczne urządzenie gimnazyów warszawskich. Z wyjątkiem I gimnazyum męskiego i żeńskiego, 4 żeńskiego i 3 męskiego, które mają widne i obszerne klasy, lokale w pozostałych zupełnie nie odpowiadają swemu przeznaczeniu, (szkoła realna, gimnazyum V, progimnazyum I), niema w nich ani wentylacyi, ani sali rekreacyjnej; przy niektórych gimnazyach niema nawet dziedzińców, gdzieby uczniowie podczas pauzy mogli zaczerpnąć świeżego powietrza; korytarze przeważnie wązkie i ciasne również dają mało powietrza. Wobec takich warunków nie można myśleć o urządzaniu zabaw szkolnych i ćwiczeń fizycznych. W każdej klasie gimnazyalnej siedzi uczniów nierównie więcej, niżeli pozwalają na to przepisy hygieny. W gimnazyach warszawskich na jednego ucznia przypada zaledwie $^1/_3$ sążnia sześciennego powietrza, wskutek czego już w końcu pierwszej lekcyi uczeń się daje zupełny brak powietrza, a na trzeciej dzieci doznają bólu głowy, wpadają w senność i stają się niezdolnemi do dalszej pracy. Na zasadzie wszystkich tych przytoczonych tu faktów *Warsz. Dniew.* żąda powiększenia liczby zakładów naukowych i polepszenia warunków hygienicznych w istniejących już gimnazyach.

Odznaczenie. Dr. Karol Brudzewski, okulista zamieszkały we Lwowie, otrzymał od Akademii lekarskiej w Paryżu za pracę z dziedziny okulistyki pochwałę honorową i 1,000 fr. nagrody. Odznaczenie bardzo rzadkie i udzielane cudzoziemcom w wyjątkowych tylko wypadkach.

Wydaleni. *Kur. Warsz.* dowiaduje się, iż ze szkół tutejszych d. 13 października wydalono 128 uczniów i 50 uczenic za niewniesienie opłaty wpisowej. Wszystko to młodzież uboga, zdolna i rwąca się z zapałem do nauki. Tylko ofiarność publiczna może jej ponownie otworzyć drzwi szkolne.

Uroczystości na cześć Chopina odbyły się prawie we wszystkich główniejszych miastach Królestwa Polskiego.

Koleje i komunikacye. Przekonano się, że publiczność unikała wagonów z miejscami numerowanemi (wprowadzonemi w roku przeszłym) skutkiem cen zbyt wysokich. Postanowiono więc w roku bieżącym ceny te zniżyć z 3 rb. do 1 rb. 50 kop. za całą przestrzeń pomiędzy Warszawą a Kijowem i Kijowem a Odesą. Miejsca takie w sezonie zimowym istnieją tylko w pociągach pospiesznej komunikacyi bezpośredniej.

— Po ułożeniu drugiego toru na kolei Nadwiślańskiej między Warszawą a Kowlem, znacznie będą rozszerzone stacye: Pilawa, Iwangród, Nowa-Aleksandrya i Lublin.

— *Kuryer Warsz.* donosi, iż pewna wielka firma elektrotechniczna berlińska stara się o pozwolenie na przeprowadzenie telefonu między Warszawą a Berlinem. Wzamian za koncesyę firma chce płacić skarbowi corocznie pewną sumę i załatwiać bezpłatnie korespondencyę skarbową.

— Biuro kontroli kolei Nadwiślańskich przeniesione będzie do Petersburga.

Wystawy i zjazdy. Trzynasty międzynarodowy kongres lekarzy w Paryżu zwrócił się do uniwersytetu warszawskiego z propozycyą wysłania delegata z wydziału lekarskiego. Kongres rozpocznie się 14 sierpnia 1900 r. i trwać będzie siedem dni.

— Pierwszy zjazd elektrotechników z całego państwa w połączeniu z wystawą odbędzie się d. 9—19 stycznia w Petersburgu.

— D. 18 b. m. rozpoczął się w Petersburgu zjazd taryfowy przedstawicieli kolei.

— Z powodu wzrastającej liczby wystaw rolniczych, urządzanych co rok w różnych miejscowościach, ministeryum rolnictwa wyjednywa w Radzie państwa kredyt na zapomogi tym wystawom w sumie 40,000 rb. rocznie (o 15,000 więcej, niż dotychczas).

Przemysł i handel. Według danych urzędowych koleje w całem państwie rosyjskiem przewożą rocznie 13,000,000 pudów owoców (cztery funty średnio na mieszkańca). Moskwa spożywa 1,359,700 pudów, Petersburg 1,016,000 p.

Katastrofy. W nocy d. 11 b. m. o godzinie 2-ej towarowy pociąg kolei Wiedeńskiej wykoleił się pod Pływią. Dwu ludzi ze służby pociągowej zabitych; 12 wagonów zdruzgotanych. Przyczyną wypadku rozerwanie się pociągu.

— Naczelnik petersburskiego okręgu pocztowo-telegraficznego ogłasza co następuje: Cyklon śnieżny, który w d. 8 i 9 października przeciągnął wzdłuż kolei Mikołajewskiej na dystansie Nowotorżsk—Rieszetnikowo, spowodował nadzwyczajne uszkodzenia na dwóch liniach (telegrafu i telefonu), łączących Petersburg z Moskwą. Wyrwał i powalił na szyny kolejowe przeszło 300 słupów wraz z drutami. Mnóstwo drzew rosnących po bokach kolei, wyrwanych z korzeniami, splątało się z drutami obu linii i runęło również na szyny. Prócz tego pod działaniem cyklonu wszystkie przewodniki i słupy pokryły się warstwą lodu, dochodzącą na drutach do 8 cali średnicy, na słupach do jednego arszyna. Celem przywrócenia komunikacyi telegraficznej i telefonowej wysłano na miejsce techników i dozorców z 70 robotnikami telegrafu, a zarząd kolei Mikołajewskiej ze swej strony wysłał 4 mechaników i 10 dozorców, których upoważniono do przybierania robotników od nadzorców drogowych.

Zmarli. Teofil Szumski, we Lwowie, literat, powieściopisarz i dziennikarz, odebrał sobie życie z nędzy.

— Dr. Ludwik Komorzyński, jeden z redaktorów wiedeńskiego pisma półurzędowego *Fremdenblatt*, w Wiedniu. Od lat 30 był współpracownikiem liberalnych dzienników wiedeńskich. Uważano go za narodowca niemieckiego.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach Prawdy, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko ***dwa ruble*** *bez przesyłki.*



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Октября 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.